ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 47

24 LISTOPADA 1934 R.

w numerze:



EWA BANDROWSKA-TURSKA,
światowej sławy śpiewaczka, występowała obecnie w Operze Warszawskiej. Skreślenie znakomitej artystki z listy członków Z. A. S. P.'u wywołało zdumienie w społeczeństwie. Przebieg całej sprawy i ustosunkowanie się do niej Ewy Bandrowskiej podajemy dziś na str. 18-ej.

NOWY LOKAL LINJI „GDYNIA — AMERYKA"



Dnia 3 b. m., w sobotę, popularna w całej Polsce instytucja Linja Gdynia Ameryka obchodziła uroczystość poświęcenia nowego lokalu, mieszczącego się w pięknym, reprezentacyjnym pałacu bar. L. Kronenberga przy ul. Plac Małachowskiego 4 w Warszawie. Uroczystość zgromadziła szereg wybitnych przedstawicieli społeczeństwa, władz państwowych i zaprzyjaźnionych instytucji. Poświęcenia lokalu dokonał proboszcz Parafji Świętego Krzyża, ks. Jan Lorek, poczem naczelny Dyrektor Towarzystwa p. A. Leszczyński w dłuższem przemówieniu zapoznał zebranych z historją oraz najbliższemi planami Linji Gdynia Ameryka.

Pośród obecnych na uroczystości poświęcenia lokalu zauważyliśmy między innymi: dyr. dep. Morskiego Leonarda Możdżeńskiego, dyr. Inst. Eks. przy Min. Prz. i Handlu Marjana Turskiego, Prezesa Izby Polsko - Amerykańskiej L. Kotnowskiego, majora Fularskiego, nacz. Wydz. Żeglugi T. Ocioszyńskiego, zast. nacz. wydz. R. Piłsudskiego, Prezesa Izby Polsko-Palestyńskiej Leona Lewite, dyr. Gab. Ministra Przemysłu i Handlu Konrada Patka, dyr. dep. Taryf. przy Min. Komunikacji R. Ceceniowskiego, dyr. Światowego Związku Polaków St. Lenartowicza, del. Min. Op. Społ. M. Biesierskiego, del. Min. Skarbu dr. Z. Borowicza, prof. Wł. Jastrzębowskiego, zast. Dyr. Biura Ekonomicznego przy Prezydjum Rady Ministrów W. Martina, min. Mirosławową Arciszewską, dyr. B. G. K. dr. Dreckiego, dyr. Ligi Morskiej i Kolonjalnej W. Czermińskiego, sędziego Maks. Friede, kons. dr. Sylwestra Gruszkę przy M. S. Z., dyr. Żeglugi Polskiej w Gdyni F. Kollata, dyr. Gabinetu Ministra Poczt i Tel. Romana Starzyńskiego, posła Tomaszkiewicza, dyr. P. K. O. T. Wassunga, nacz. wydz. w Min. Przem. i Handlu Jerzego Zalewskiego oraz przedstawicieli prasy.

Po zwiedzeniu nowego lokalu Zarząd podejmował gości lampką wina.



ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXIX. Nr. 47 24.XI.1934

L. CHRZANOWSKI

DEMASKUJEMY NADAL!

Parę miesięcy temu czytelnicy nasi pierwsi w Polsce zapoznali się z częścią rewelacyjnych dokumentów amerykańskiej komisji śledczej. Komisji badającej machinacje handlu bronią i dozbrajania się Niemiec. Komisja zdemaskowała zbrojenia niemieckie.

Komisja wykryła przemyt broni przez Holandję i Belgję.

Od tej pory zdemaskowano wiele „wyczynów" niemieckich w tej dziedzinie.

Europa otwiera coraz baczniej, coraz szerzej oczy.

Dane coraz nowe, dokumenty coraz kompletniejsze zrywają zasłonę, ukazując rosnące stocki gromadzonej broni, produkowanej amunicji, zakupów niklu, miedzi, wytężonej pracy laboratorjów chemicznych.

Konsekwentnie i systematycznie zaznajamiamy naszych czytelników z temi danemi, faktami, dowodami, dokumentami. Człowiek, społeczeństwo przestrzeżone nie ulega panice w chwilach niebezpieczeństwa.

We wszystkich stolicach Europy odbywa się wzmożona, wytężona gra dyplomacji niemieckiej. Na całym świecie są naiwni, którym się zdaje, iż subtelnemi posunięciami „ułagodzą" Niemcy, że dyplomatycznym uśmiechem, przyjaznem krygowaniem się... odwiodą Niemcy od ryzykownych gestów i przemienią zastępy nazisów w wielotysięczne oddziały, powiewające gałązkami oliwnemi. A tymczasem o niemieckim gołębniku pokojowym coraz więcej danych i dokumentów publikuje prasa angielska i francuska.

Odsłaniają się nowe fakty lub uzupełniające dane. Demaskują one coraz wyraźniej plany niemieckie. Niektóre dane są tak wymowne, tak jaskrawe, iż nie wymagają poprostu komentarzy. Podajemy je w dalszym ciągu.

Demaskujemy nadal.

W chwili obecnej pracuje w Niemczech przeszło 100 wielkich przedsiębiorstw wyrabiających broń lub amunicję. Powiększa się fabryki istniejące, buduje się nowe. Wszystkie zbankrutowane fabryki przekształcane są na fabryki metalowe. We wrześniu 1932 Krupp zatrudniał 35.000 robotników, w styczniu 1934 — 45.000, *a obecnie przekroczył już liczbę 55.000!*

Ciekawie wygląda statystyka giełdowa, dotycząca akcji towarzystwa „Rheinmetall", którego warsztaty pracują wyłącznie nad dozbrojeniem Rzeszy. Kurs tych akcji był: w grudniu 1930 — 80 marek, w listopadzie 1931 — 48 marek. Minimalny kurs w 1932— 22 marki; minimalny w 1933 — 70 marek; maksymalny w 1933 —105 marek. *W styczniu 1934 r. akcje te osiągnęły 119 marek, w marcu 1934 — 129 marek, w październiku 1934 r. — 147 marek!*

Widzimy więc, że
akcje amunicyjne idą w górę!

Fabryki broni zwiększają ilość pracujących systematycznie, stale, bez przerwy.

Ten stan rzeczy nabrał już takiego tempa i zasięgu, że nawet jeden z szampjonów porozumienia francusko - niemieckiego, ambasador Francji w Berlinie p. François - Poncet—przybył tydzień temu do Paryża z alarmującym memorjałem szczegółowo omawiającym zbrojenia niemieckie. Ten



...pokojowość trzeciej Rzeszy...

raport ambasadora

jest opracowany niezwykle zwięźle, szczegółowo i dokładnie i wywarł w Paryżu duże wrażenie.

Wydana w ciągu lata przez byłego oficera marynarki Helmut'a Klotz'a książka p.t. „Od Weimaru do chaosu" zawiera informacje ścisłe i w najwyższym stopniu niepokojące. Podaje ona szczegóły nadzwyczajnie dokładne o zbrojeniach Niemiec.

W Anglji ukazała się dwa tygodnie temu książka p. t. „Hitler się zbroi" — i w tej publikacji autorka Wedgewood krok za krokiem towarzyszy nowym tankom, nowym aeroplanom, nowym podziemnym lotniskom, nowym krążownikom i armatom Hitlera, — demaskując... pokojowość trzeciej Rzeszy!

Publikacje się mnożą, oczy się otwierają. Czy niezdarna dyplomacja powersalska zdoła odrobić swe błędy? czy będzie umiała się zdobyć na myśl, na czyny twórcze wobec Niemiec uzbrojonych, tak jak nie umiała tego uczynić wobec Niemiec przez traktat rozbrojonych? Oto pytanie coraz dobitniej krystalizujące się na ustach tych wszystkich w Europie, którzy mieli oczy otwarte a usta zamykane nieomylnemi gestami dyplomatów „widzimisiów".

W paryskiej „Revue des etudes militaires", organie francuskiego sztabu generalnego, ukazały się ostatnio... przekonywujące tablice o siłach niemieckich. Do 200.000 ludzi Reichswehr'y (liczby oficjalnej) należy dodać 150.000 ludzi (Schutzpolizei) — połowa tych policjantów jest stale skoszarowana. Prócz tego mamy według statystyki oficjalnej formacje milicyjne, liczące 1,120.000 ludzi. W tem mamy 120.000 — „S. S." (Schutztaffelu) i miljon „S. A." — (Sturmabteilungen).

Wszystkie te oddziały odbywają **codzienne ćwiczenia wojenne.**

Znaczna część żołnierzy została skoszarowana. Dekretem rządowym brunatne koszule zostały zastąpione przez polowe szynele i uniformy! Jest to już więc armja regularna. Armja ta posiada do



„Król armat"
Bazyli Zacharow

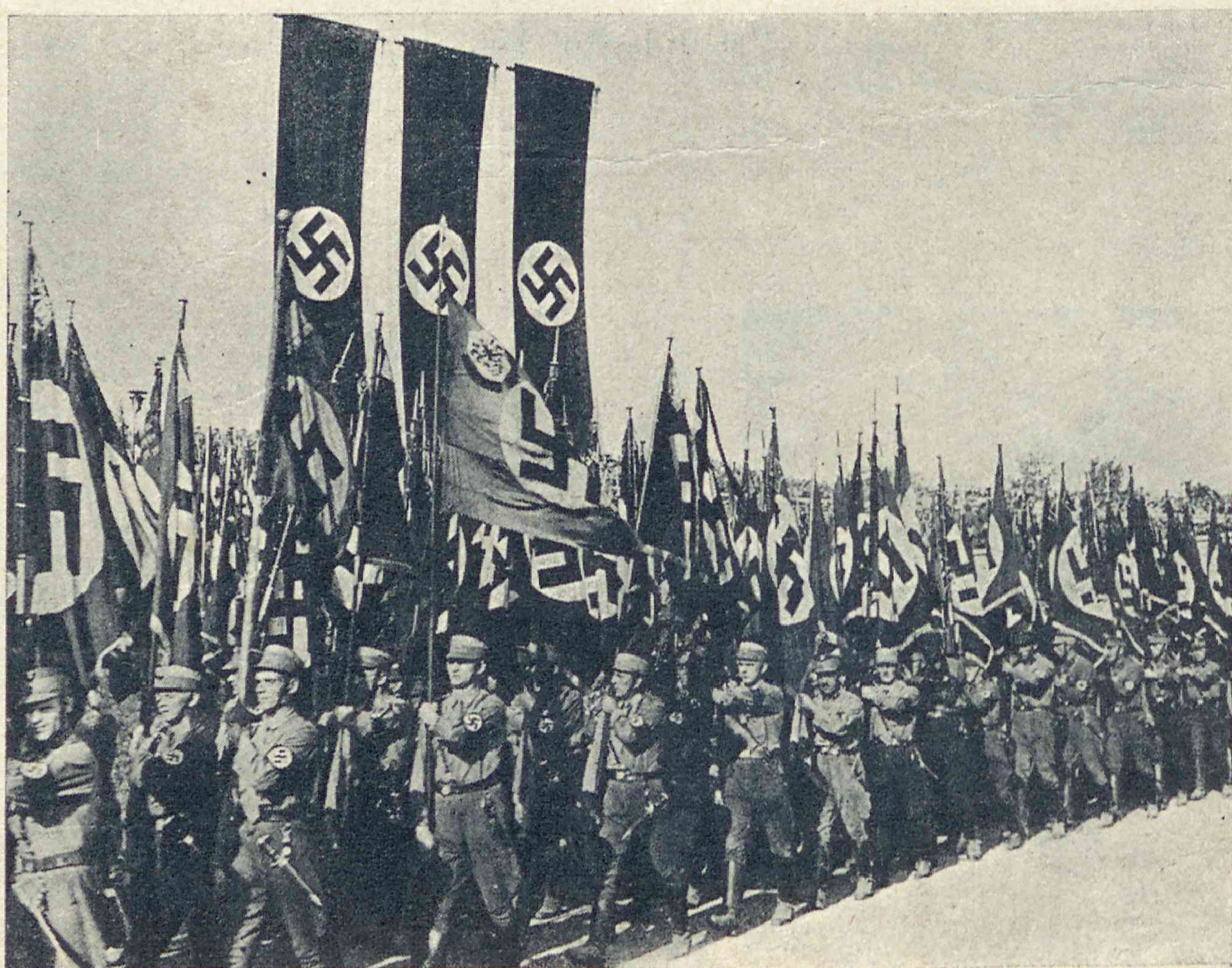
swego rozporządzenia poważny park automobilowy, pozwalający na przerzucanie w ciągu paru godzin kilkudziesięciu tysięcy ludzi.

Według tego obliczenia miarodajnego, fachowego pisma francuskiego armja niemiecka liczy obecnie w różnych formacjach *prawie półtora miljona ludzi,* z czego 500.000 jest skoszarowane. Te 500.000 *to jest liczba dwa razy większa, niż lądowa armja francuska.* Według ostatnich rewelacji „Daily Mail" — awjacja niemiecka powiększa się co miesiąc o 2500 aeroplanów! Zdolność twórcza Niemiec w tej dziedzinie ma się wyrażać możliwością skonstruowania 50.000 aeroplanów rocznie— wówczas, gdy Stany Zjednoczone obliczane są obecnie na 30.000 samolotów rocznie. Według książki Helmut'a Klotz'a — Niemcy posiadają już obecnie 60.000 pilotów, a 150.000 robotników wyspecjalizowanych pracuje w przemyśle lotniczym.

Te zbrojenia niemieckie uzewnętrznione obecnie nie stanowiły już tajemnicy od dłuższego czasu — teraz ujrzały światło... farby drukarskiej. Ale o ile w sferach oficjalnych przebąkiwano o nich od pewnego czasu, o ile ukazywały się tu i ówdzie w prasie jak fajerwerki rewelacyjne, to jednak najniebezpieczniejsze są i były te zamaskowane zbrojenia, jakich Niemcy dokonywują *pod cudzą firmą.*

Rok temu w czasie obrad konferencji rozbrojeniowej sygnalizowałem tajemnicze zakupy poważnych ilości niklu, dokonywane dla

...armja niemiecka liczy półtora miljona ludzi...



Niemiec via firmy holenderskie. Przez ten rok zakup i przeróbka niklu, oraz innych surowców wojennych szły w Niemczech pełnem tempem.

Jak się te machinacje odbywają, znowu nas pouczają badania amerykańskiej komisji śledczej.

Wykazywaliśmy już w pierwszym artykule, odsłaniającym działalność „Electric Boat C-o" (patrz „Świat" Nr. 39) konszachty tej firmy i zamaskowane dostawy jej dla Niemiec. Przedstawicielem tego koncernu — którego duszą jest miljarder i główny wszechświatowy ajent uzbrojeniowy Bazyli Zacharow — na Europę był oficer marynarki holenderskiej Paul Koster. Od pewnego czasu jest on dyrektorem najrozleglejszego przedsiębiorstwa amunicyjnego w Berlinie p. t. „Bergmann C-o".

W liście swym z 13 lutego do dyrektora Spear'a kapitan Koster pisał, iż *Niemcy podzieliły mniejsze państwa europejskie na ośrodki zbrojeniowe, mające stać się zamaskowanemi składami amunicji dla Niemiec.*

W liście tym Koster specjalnie sprecyzował metody przemysłu niemieckiego, konstruującego łodzie podwodne. Wszystkie zakłady niemieckie tego działu stworzyły

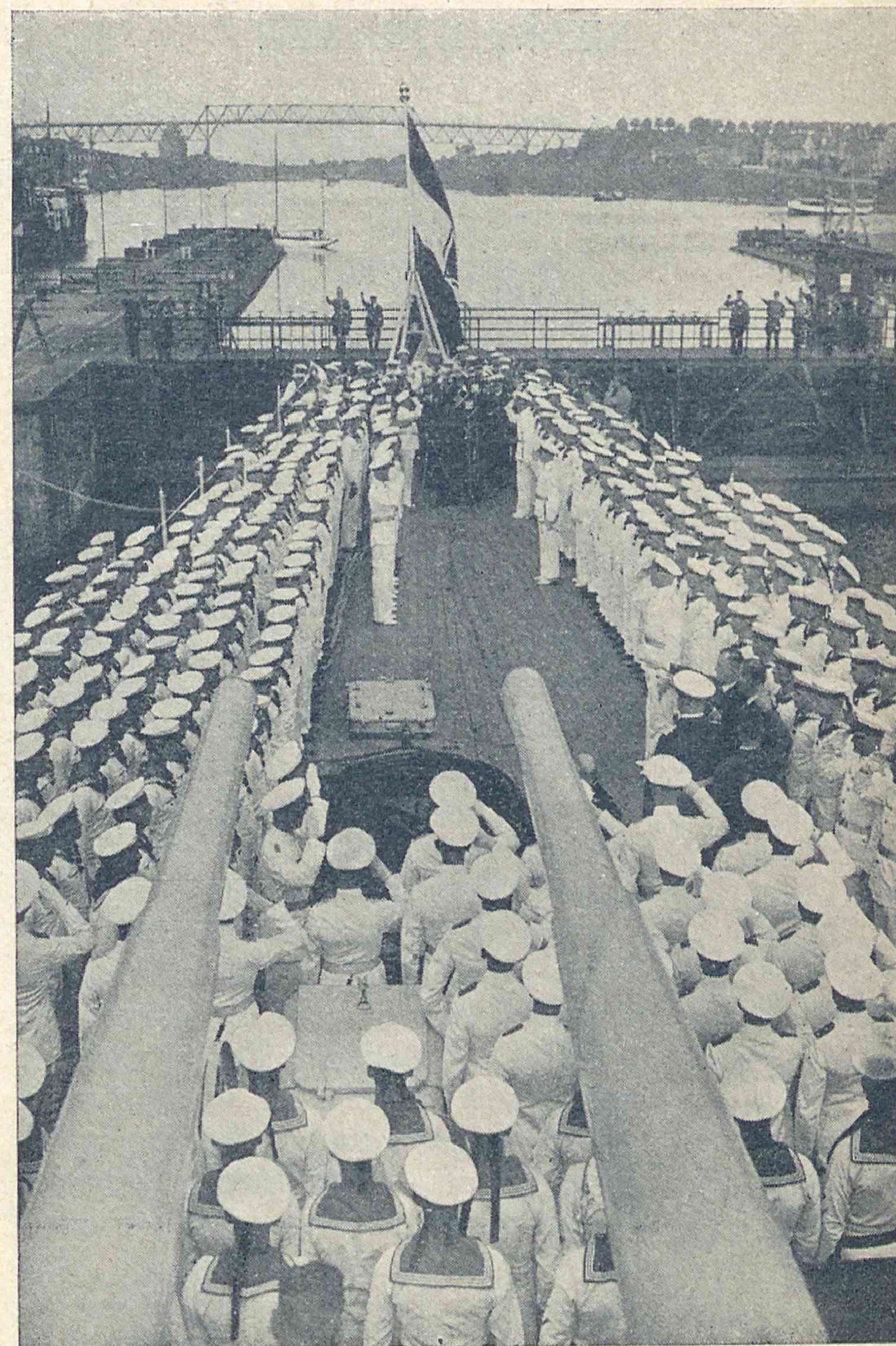
tajne filje w Holandji, Szwecji, Szwajcarji.

Filje te, działające jako rzekomo niezależne przedsiębiorstwa w tych krajach i w innych mniejszych państwach sąsiadujących z Niemcami, w rzeczywistości pracują dla podwodnej marynarki niemieckiej. W jednym z następnych listów kapitan Koster przyznaje, iż *holenderska firma Inkavos* z Hagi jest w istocie niemieckiem przedsiębiorstwem, przeznaczonem do utrzymywania kontaktu między marynarką niemiecką a stoczniami całego świata, budującemi łodzie podwodne.

W dalszym ciągu tych rewelacji dowiadujemy się, iż Kolonja stała się centralnym składem przemycanej broni i amunicji, przeładowywanej na morzu przed wejściem do portu Antwerpji i płynącej w ten sposób z Ameryki do Niemiec.

W zakresie rozwoju przemysłu lotniczego listy Thomas'a A. Hamiltona odsłaniają, iż od przyjścia do władzy Hitlera jedne fabryki zwiększyły ilość zatrudnionych pracowników dwukrotnie, inne trzykrotnie. Wiemy, iż pewien bank berliński, posiadający olbrzymi, blokowy, pięciopiętrowy gmach, zajęty został całkowicie na biura urzędu lotniczego; że dyrektor techniczny Lufthansy dr. Milch został mianowany podsekretarzem stanu dla handlu lotniczego.

Wiemy już wiele. Każdy dzień przynosić może nowe dane dla wszystkich, co chcą mieć otwarte oczy, co nie siejąc paniki, niebezpieczeństwa nie lekceważą. Wiemy, że w Niemczech przemysł się zespala centralistycznie, że państwo przenika go organizacyjnie coraz ściślej. Wiemy, że istniejąca jeszcze obecnie przewaga motoryzacyjna Francji w tankach, artylerji ciężkiej *zmniejsza się z każdym niemal dniem.* Wiemy to — i wiele jeszcze innych rzeczy.



...siła Niemiec na morzu rośnie...

Dyplomacja niemiecka i przemysł wojenny pracują!

Niebezpieczeństwo dostrzeżono wreszcie w Paryżu i Londynie — stolice zachodnie chcą ustalić wspólne słownictwo w rozmowach z Niemcami, ale jednocześnie wielka fala zwycięskich w wyborach labourzystów może znowu podmyć ostrzegawcze sygnały rządu Baldwina; „Wspólny Front" — francuski pp. Cachin'a, Blum'a i Bergery może znowu rozsiewać naiwne doktryny o porozumieniu się... aby uniknąć wojny.

A w Genewie odraczają się posiedzenia, bo komitet trzech nie uzgodnił możliwości gwarancji bezpieczeństwa dla głosujących w Zagłębiu Saary, bo utopiści chcą na tratwie frazeologji wyłowić ze zmąconych wód międzynarodowych — powrót Niemiec do Ligi.

...wszystkie oddziały odbywają codziennie ćwiczenia wojenne...



BRUNO WINAWER

KOPERNIK I URBANISTYKA

Nie umiałbym dat tego bardzo ciekawego okresu w dziejach podać ściśle (już w szkole chronologja była moją zmorą i utrapieniem), ale wiem, pamiętam, że jeszcze na początku bieżącego stulecia panował nagminnie pewien mocny „popęd estetyczny". Ludzie biegali po mieście, kupowali drewniane talerze, liście zasuszone, papiery kolorowe i zdobili namiętnie wnętrza mieszkań. Żona po całych dniach zszywała dywaniki ze starych skrawków flanelowych, malowała szyszki złotą farbą, wieszała fotografje rodzinne w gabinecie i w przedpokoju, nad biurkiem i nad gerydonem. Nie było doniczki bez bibułki, lichtarza bez profitki i patarafki. Przywożono z wycieczek letnich i umieszczano gdzie się dało, nad szafeczką i pod żyrandolem, miniaturowe kapcie, kapelusiki góralskie, trepy, chodaki, ustawiano na półeczkach słonie porcelanowe, pamiątki z Karlsbadu, szkiełka, figurki, widoczki w ramkach, kufle, półmiski, pantofle, fajki, mycki, abażury, łyżki wazowe i kindżały.

Mury pokoju od podłogi do sufitu pokryte były obrazami olejnemi w imponujących, ozdobnych ramach. Jeden z wielkich Newtonów-prawodawców ówczesnej estetyki (Ruskin) puścił w obieg aforyzm: wnętrze bez obrazu to wnętrze *bez okna* i ludzie trzymali się tego zdania, jak pijany płotu. Wieszali na cierpliwych ścianach akty i pejzaże, jedno tuż przy drugiem. „Okno" wychodziło jednocześnie na Grecję, na polowanie na niedźwiedzia z naganką, na cmentarz żydowski, na karczmę, na odpust, na rozkrajany melon, na nagą kobietę, na morze, na synagogę, na Wenecję i Kazimierz nad Wisłą o zachodzie.

— Pokażcie mi nareszcie kawałek zwykłego otynkowanego muru! — błagałem znajomych. —Pan nie ma zupełnie poczucia estetycznego — mówili mi na to.

Dziś się coś odmieniło nagle, odwróciło. Wnętrze nowoczesne jest trzeźwe, puste. Trochę lśniących mebli stalowych, na ścianie niewielki rysunek: schody kręcone, wodociąg albo przekrój grajcarka. Wazon, trochę kwiatów, dużo powietrza. Metalowa rączka od parasola stoi na biurku. Tapczan i koniec.

Zato gwałtowny popęd estetyczny (nic w naturze nie ginie) przeniósł się teraz na ulicę. Ludzie po całych dniach i wieczorach dyskutują zawzięcie w kawiarniach warszawskich, gdzie przeciąć sznur domów, co zrobić z placem, jaką otworzyć perspektywę, co zburzyć, co postawić. Żadne koszty nas nie odstraszają, kochamy pstrokate, malowane rynki staromiejskie, lubimy pomniki. Oświetlamy w święto reflektorami pewnego nagiego powalonego człowieka z bronzu i chcielibyśmy zobaczyć początek, dalszy ciąg, rozwój całej akcji tragicznej. Co się tu stało? Kto kogo obalił nawznak i gdzie się podziało ubranie? Chcielibyśmy widzieć całą aleję, cały cykl rzeźb, historję w rzeźbach, jak są historje w kolorowych obrazkach.

Pewnego dnia obszedłem naokoło pomnik Chopina, obejrzałem go dokładnie, zwłaszcza ztyłu. Jakie to dziwne — *pamiętam* Chopina zawsze, kiedy widzę księżyc nisko nad łąką, strumień między drzewami, liście jesienne, krzak ośnieżony zimą, arabeski na zamarzłych szybach... Dlaczego akurat na widok jego *pomnika* przypomina mi się tylko zjadliwa nowelka Courteline'a o urzędniku, który żąda podwyżki. „Oglądałem się dziś w lustrze, panie dyrektorze, ztyłu! Ja już nie mam na czem siedzieć, tak dalece schudłem. Panie dyrektorze, to już nie t...k, to złożone potulnie dwie drobne piąstki małego dziecka"...

Z pomników warszawskich jeden robi silniejsze wrażenie — pomnik Kopernika. Astronom toruński patrzy na północ, na koniec osi świata, patrzy na obroty gwiazd. Przedewszystkiem zaś siedzi mocno, siedzi wygodnie i widać na pierwszy rzut oka, że ma zamiar posiedzieć dłużej.

A jednak to on właśnie — astronom toruński — dał ziemi raptem prztyka przed laty, pchnął ją w orbitę, kazał jej wirować naokoło słońca. I od tej chwili glob poczciwy i stateczny uspokoić się nie może, kołuje jak w dzikim tańcu.



Dawniej ludzie tworzyli na wieki całe, na mur i na amen. Stawiali rzeźbę na placu, kolumnę, budynek, arkadę, mówili uf! i umierali spokojnie, wierzyli, że to przetrwa aż do dnia sądu ostatecznego. Tworzyli przysłowia „ars longa"...

Dziś — nie wiemy, czy miasto jutrzejsze będzie pod ziemią, czy może będzie bujało wysoko, w powietrzu, przytwierdzone kotwicą do gruntu.

Stolica ongiś leżała przeważnie nad spławną rzeką... Ale w epoce samolotów, rakiet, samochodów, hydrotechniki może leżeć, gdzie chce. I co budować właściwie? Lotniska? Autostrady? A może w przyszłości sama ulica pędzić będzie razem z tłumem przechodniów, jak chodnik ruchomy na wystawie?

Jakie gmachy reprezentacyjne stawiać? Wysokie? Niskie? Monumentalne? A może już jutro mieszkać będziemy w kulistych domach z lekkiego galalitu, może miasta będą wędrowały po świecie, jak cyrki amerykańskie? I co właściwie stawiać ku wiecznej rzeczy pamiątce? Teatry? Radjostacje? Kina? A może wielkie pałace z białemi ekranami i miejscem, przeznaczonem na telewizory?

Straciliśmy zaufanie do złota, zachwiała się nasza wiara w dolary, funty angielskie, potęgi morskie, jakże mamy wierzyć, że ten albo ów odlew przetrwa całe eony? że stać będzie, dopóki go wreszcie trąba zniecierpliwionego archanioła nie zwali?

Profitki, patarafki, malowane szyszki, srebrzone liście palmowe, olejne melony, kufle gdzieś tam znikały, kiedy przyszły inne czasy i kiedy gospodarz przeprowadzał się wreszcie do nowoczesnego żelbetonowego domu.

Ale co poczniemy z murami, niebotykami, arkadami, cokółami, perspektywami, kiedy się okaże, że to wszystko ma być przeniesione do tunelu albo nad granice troposfery?

Co poczniemy z urbanistyką, jeżeli się okaże, że Warszawa ma jeździć na taśmie ruchomej, jak mucha na transmisji.

Kopernik — na pomniku — wygląda tak, jakby go te sprawy nie obchodziły. Warszawa się nie zajmuje astronomją, on nie dba o Warszawę. Myśli o czem innem.



...podczas zdejmowania sukni znalazł się brylant... Rys. Kostrzewski

KALENDARZYK WARSZAWY
Z PRZED PÓŁ WIEKU
LISTOPAD 1884

TIURNIURA ZŁODZIEJEM.

„W dniu wczorajszym w jednym z zamożnych domów Warszawy wyprawiono huczną zabawę z powodu imienin gospodarza.

Pani X., urocza tancerka, w trakcie mazura zauważyła brak drogocennej szpilki z brylantem, uronionej z głowy.

Zarządzone poszukiwania nie doprowadziły do żadnych rezultatów.

Za przyjściem do domu, podczas zdejmowania sukni, pani X. zauważyła jakiś przedmiot, świecący między fałdami sukni. Była to zguba, ukryta w tej części toalety....

Nieestetyczny wymysł umie zatem niekiedy płatać figielki".

MODA GEOGRAFICZNA.

„Zagraniczni fabrykanci wyrobów galanteryjnych nadesłali do Warszawy zapas kolczyków, brosz, a nawet guzików w kształcie minjaturowych globusów, z których najmisterniejsze odznaczają się możliwą dokładnością.

Caca, dziateczki, caca..."

PRZECZUCIE MIESZKAŃ NA PERYFERJACH.

„W dziale ogłoszeń czytamy, że są do wynajęcia na przeciąg zimy letnie mieszkania za rogatką dla osób przenoszących spokój życia wiejskiego.

Logika prawdziwie ...ogórkowa".

„SALON LETNI"

W salonie letnim zabrano się do zimowych porządków. W różnych punktach ogrodu wykopano doły do sadzenia młodych kasztanów.

Ogołocony ze swej zieleni ogród sprawia na spacerowiczach wrażenie głębokiej jesieni".

Nie trzeba dodawać, że ów „letni salon" był Ogrodem Saskim i że owe młodziutkie wówczas sadzone kasztanki dziś są sporemi drzewami.

45 GORSETÓW!

Przybyła do Warszawy pewna Wołynianka pani P. celem dokonania niektórych toaletowych zakupów.

Pomiędzy innemi, pewien skład gorsetów sprzedał pani P. aż 45 sztuk w cenie koło 50 rs. za sztukę.

I WTEDY...

„Ogólnie dają się słyszeć narzekania na „złe czasy", brak gotówki, kredytów i t. p.

Wierną ilustracją tego stanu rzeczy jest fakt ogłoszenia przez komornika w ciągu jednego tylko dnia 34 licytacyj ruchomości w Warszawie".

„PICK - POCKECI".

„W jednym z większych sklepów znajdujemy wywieszone ostrzeżenie przed rzezimieszkami.

Jest to inowacja, naśladowana ze stolicy mgły i pick-pocketów".

„NIEZAPRZECZENIE PIERWSZA..."

W szkole technologicznej w Bostonie otrzymała patent z ukończenia nauk rodaczka nasza Justyna Kulikowska.

Obecnie pani K. odpłynęła do Europy i zamierza powrócić do kraju, poszukując miejsca przy browarze lub garbarni.

Będzie to pierwsza u nas niezaprzeczenie kobieta technik".

W EPOCE KALIGRAFJI.

„W składach materjałów piśmiennych pojawiły się nowego rodzaju pióra stalowe o podwójnem ostrzu służące do ozdobnego pisma. Za jednorazowem pociągnięciem takiem piórem po papierze litera wychodzi podwójna, co bardzo mile wpada w oko".

KARE CZY SIWE?

„W dniu onegdajszym miał się odbyć ślub młodej i dorodnej pary.

Tymczasem, dzień przedtem narzeczona zapytuje pana X., jakiej maści będą konie przy ślubnej karecie.

— Kupiłem kare, — odzywa się narzeczony.

— A ja nie pojadę do ślubu innemi, tylko siwkami.

Narzeczony, słysząc to i obawiając się kapryśnej żony, zerwał z nią, zamierzając zwiać.

Lepiej rozjechać się przed ślubem, czy to karemi czy siwemi końmi".

(Kar. h.).

SERCEM I OCZAMI

Melchior Wańkowicz — „Szczenięce lata" i „Opierzona rewolucja" nakł. „Roju".

Rzadko się zdarza, aby dwie książki jednego pisarza tak znakomicie dopełniały się przez swe różnice, jak „Szczenięce lata" i „Opierzona rewolucja" Melchjora Wańkowicza. Jeszcze rzadziej — aby ukazały się jednocześnie, jakby dla świadomego podkreślenia kontrastu i uwydatnienia różnostronnych możliwości autora.

Że Wańkowicz pisze barwnie, żywo i zajmująco, że patrzy na szeroki świat (po którym się chętnie wałęsa) otwartemi oczami i umie opowiedzieć o tem, co widział i czego doznał — to wiedzą jego czytelnicy. Ale żeby zasięg duchowy tego autora szedł od „Szczenięcych lat" do „Opierzonej rewolucji" — to chyba jest dla większości rewelacją.

Bo czemże są te książki?

„Szczenięce lata" są cudowną kroniką kresowych dworów szlacheckich z przed wojny, kroniką pisaną z humorem, z uśmiechem wesołej drwiny, z oczami błyszczącemi — niewiadomo, czy tylko z uciechy, czy także z ukrywanego rozrzewnienia?

„Szczenięce lata" pisane są przedewszystkiem — sercem. Ale broń Boże ckliwo ani sentymentalnie. Doznania i perypetje kresowego wilczka ujęte są w opowieść zamaszystą, epicką, często rubaszną, właśnie tyle, ile trzeba, aby rodzaj życia tych starych dworów i ich mieszkańców nie stracił charakteru, aby sylwetki kresowych panów, kresowych księży, rezydentek, służby, dzieci i zwierząt stanęły przed nami jak żywe. Jakże plastycznie widzi Wańkowicz tło swej opowieści, jakże prostemi słowami wprowadza nas w to środowisko, stwarzając bez cienia frazeologji właściwy nastrój od pierwszych zaraz stron książki!

„Nawprost ganku, nie takiego tam „polskiego" ganku, jakie bywają we dworach na mazowieckich piaseczkach — ale tęgiego, szklonego weneckiemi oknami, gdzie pod sufitem lepiły się jaskółcze gniazda, pod ławkami legiwały kundle, a po stołach, jak dzień długi, suszyły się wiecznie jakieś rumianki, jakieś żywokosty i inne gospodarskie ingredjencje — nawprost ganku tego była sień ogromna, ciemna, chłodna zawsze".

Już jesteśmy na terenie opowieści. Tych kilka wierszy wprowadza czytelnika w bieg akcji, z nieomylną pewnością narzucając mu obraz kresowego dworu. Wielki to talent tak zwięźle a tak trafnie określić miejsce zdarzeń. Równie zwięźle i trafnie kreślone są sylwetki i wypadki, czasem wesołe, czasem rzewne, kiedyindziej nawet tragiczne.

Życie kilku pokoleń w kresowych dworach Mińszczyzny i Kowieńszczyzny — to zdawałoby się temat już ograny, stary, nie przedstawiający dla pisarza żadnych stron nieznanych. W ujęciu Wańkowicza temat ten stał się znowu świeży, a ginące po dworach życie — to życie, które potem zmiotła rewolucja bolszewicka — niesamowitym egzotyzmem zaciekawia i przykuwa czytelnika, jak podróż po dalekich lądach.

„Majątek babki dzierżony był od czterech pokoleń w rękach matrjarchatu, tak się bowiem składało, że przechodził w linji kobiecej z matki na córkę, z babki na wnuczkę. A że dziedziczki żyły krzepko i długo, rękę zaś miały twardą i zwyczaje starodawne, zachował się w Nowotrzebach obyczaj, żywcem przeniesiony z początków XVIII stulecia"....

Do tego motywu przewodniego powraca Wańkowicz ciągle — często nawet nie słowami, nie własną refleksją, ale zestawieniem wypadków czy ludzi.

„Cóż bo byliśmy my — strony działające — mały siedmioletni chłopak i grono kobiet, które go miało w opiece, wobec dostojnego „domu", w którym tok życia ułożyły pokolenia" —rzuca w jednem miejscu uwagę.

A znów gdzieindziej: *„Dom ten, księga żywa pokoleń, budowany był przez dzieje, rozrastał się na generacjach, niby pancerz jakiegoś zwierzęcia na jego żywem ciele"...*

To życie idyliczne, wiejskie, rozlewne, mocne a powolne, życie dworu kresowego przed wojną — już nie istnieje. Ostatnie kartki świetnej książki Wańkowicza opisują dramatyczny jego koniec. Jego — jak tylu, tylu innych. Dwór rozgromiony przez okoliczne chłopstwo został po tamtej stronie granicy.

„Rozrachowały się dwie prawdy. Ziemi tej to nie pierwszyzna, dziejom nie pierwszyzna, pamięci lat kresowych nie pierwszyzna... Ale cóż począć, gdy dla rozdartego serca ludzkiego — to pierwszyzna"...

Tak prostemi słowami wypowiada Wańkowicz na ostatnich kartkach swych wspomnień ból rozstania z tem wszystkiem, co stanowiło treść jego lat dziecięcych i treść istnienia wielu pokoleń jego przodków.

* *
*

Zdumiewająca jest po takich przejściach, po takiej książce, jak „Szczenięce lata" — ta druga, jakby odwrotna strona indywidualności Wańkowicza — „Opierzona rewolucja". Pojechał do Moskwy ten możny ongi pan, któremu przewrót dziejowy odebrał więcej niż majątek: odebrał mu oparcie duchowe jego przodków, odebrał nagromadzoną wiekami tradycję. Pojechał do Moskwy — ani uprzedzony, ani rozgoryczony. Przez dziesięć dni przyglądał się tej rewolucji — dziś już „opierzonej" — przyglądał się beznamiętnie. W tak krótkim czasie, przy tak troskliwej „opiece", jaką, wiadomo, cieszą się w Rosji turyści, zbyt wiele zobaczyć nie można. Wańkowicz widział jednak sporo. Nietylko to, co mu do widzenia przygotowano. I bystre jego oczy chwytały wrażenia, a szybka ręka wieczorami w hotelu notowała je „na gorąco".

Już sama ta technika wskazuje, że książka ta nie może być i nie zamierza być niczem innem, jak żywym podróżnym reportażem. Jest to jednak reportaż robiony przez bystrego obserwatora, świetnego stylistę i czujnego dziennikarza, który niejedno już widział na obu półkulach i niczemu się nie dziwi. Notatki swoje, ujęte w formę bezpretensjonalnych wrażeń, skomasował autor w pokaźny tom, który czyta się z wielkiem zaciekawieniem.

Nie Wańkowicza wina, że „Opierzona rewolucja" nie daje czytelnikowi — gdyż dać nie może— tych wzruszeń, jakich dostarczają mu „Szczenięce lata". Wina to tematu — i zrośnięcia się z nim autora.

Na swe „Szczenięce lata" — patrzał Wańkowicz sercem.

Na „Opierzoną rewolucję"—tylko oczami.

Z. Norblin-Chrzanowska.

MELCHIOR WAŃKOWICZ

ŻYCIE NOCNE w MOSKWIE

Zamieszczamy poniżej urywek z wydanego w tych dniach nakładem „Roju" zbioru reportaży Melchiora Wańkowicza z Rosji Sowieckiej, pod tyt. „Opierzona rewolucja". Czytelnicy nasi w numerach poprzednich „Świata" mieli sposobność zapoznać się z urywkami z innego dzieła tego pisarza, „Szczenięce lata", wydanego obecnie również nakładem „Roju".



Siedzę pod kloszem wielkiej wspaniałej sali Metropolu, na dancingu, który stale ma miejsce wieczorem w wilję dnia wypoczynkowego. Pod tym kloszem roi się tłum zagranicznych speców. Przy bufecie pije się zagraniczne trunki, ma się rozumieć za zagraniczną walutę. Są nawet fortancerki w głęboko wyciętych dekoltach. Przypomina mi się ogród zoologiczny, w którym dla fok sprowadza się morskie ryby. Jedzenie, do którego przywykły w ojczyźnie.

— *Sind Sie auch Ausländer?* — pyta mój sąsiad. W ten sposób zawieram znajomość z berlińczykiem, inżynierem, który już szósty rok siedzi w Sowietach. Ma się nieźle, chociaż mu przy każdem odnawianiu kontraktu pogarszają warunki. Doskonale mówi po rosyjsku, świetnie zna kraj, który przejeżdżał we wszystkich kierunkach. Rad jest, że może mówić z kimś po niemiecku. Rad jest, że może kupię u niego jakieś antyki. Skupuje to w wolnych chwilach. Ma kodeks Napoleona po polsku drukowany. Nie chcę? Ma szkatułkę z kości słoniowej, w której Paléologue ofiarował nieboszczce carowej Marji Teodorównie (wymawiane z nabożeństwem) kolję. Głupstwo kosztuje — 200 dolarów. I tego nie chcę?

Aby osłodzić odmowę, podlewam ten kwiatek kapitalistyczny, jak mogę, Martellem i niebawem jesteśmy przyjaciółmi.

Bęben z saksofonem zawarły układ o socjalistycznem współzawodnictwie. Wychodzimy wobec tego do hallu, gdzie rozsiadamy się w miękkich fotelach.

Jakaś piękność niesamowita robi powłóczyste oko do mego towarzysza.

— *Ich habe kein Insnabbuch,**) *ich habe kein Pathephon* — oświadcza ten ni stąd ni zowąd. — Może pan w Rosji mieć każdą kobietę — zwierza mi się konfidencjonalnie — jeśli pan ma wolny czas, patefon i książeczkę zaopatrywania w żywność w sklepie cudzoziemskich specjalistów.

Istotnie, piękność przyjmuje do wiadomości oświadczenie i odchodzi. Nic już nie będę miał z mego inżyniera. Martell rozebrał go z kretesem.

Wychodzę na ulicę. Ulica moskiewska nie ma prostytutek, nie ma żebraków, nie ma elegancko ubranych ludzi, nie ma nędzarzy, ma tylko ubogo ubraną publiczność. Wobec tego czegoż może chcieć ta dama, która zatrzymuje się, kiedy przechodzę jezdnię? Dama ma walonki na nogach i jakąś kombinację hełmu z nausznikami, który zasłania od mrozu całą twarz. Stwora ta chce najwyraźniej zawrzeć znajomość. Służę!

Nieboga miała pecha. Jakiś cudzoziemiec zaprosił ją do hotelu, a do hotelu portjer jej nie wpuścił. Cudzoziemiec bardzo żałował, ale cóż mógł poradzić? Dał jej na pocieszenie 10 rubli.

— No, to cóż robić? — pytam donny. — Pójdziemy gdzie się pograć...

Ale wszystkie knajpy zamknięte. Jest jedna tylko na Arbacie, otwarta do szóstej rano.

Krótka prelekcja dorożkarza o cenach na owies i na siano. Wreszcie coś z dawnej Rosji. Izwozczik! Było ich pono 25.000. Teraz zostało 300. Są to jedyni „czastnicy", a więc ludzie pracujący na siebie. Jedyni kapitaliści w S. S. R. i jako tacy jedyni ulegalizowani opozycjoniści.

Opowiadał mi pewien znajomy, że w Charkowie kazał się gdzieś zatrzymać dorożkarzowi w miejscu, w którem by mógł spłacić dług naturze. Dorożkarz nie wiedział, czy są takie miejsca. „Jakto, tyleście nabudowali" — mówi pasażer. „No cóż — odpowiada dorożkarz — gigantów nabudowali, a s..ć niema gdzie".

Wściekły pęd zataczającemi się saneczkami. Jesteśmy przed „Arbatskim Podwalczykom".

Brud, smród i pijani. W szatni przepchnąć się nie można. „Ot, zaraz zaczną bić się po mordach", mówi nimfa. „Nad ranem tu się zawsze biją".

— A nas bić nie będą?...

— Zależy...

Z ciężkiem sercem lezę za moją przewodniczką zaplutemi schodkami na górę. Po drodze łapią ją pijacy, ale się wysupłuje. W kąciku pod orkiestrą dają nam kiwający się stolik, karafkę wódki, kanapki z podłym kawiorem i jakiegoś mięsiwa.

Moja towarzyszka usiłuje w całej pełni wykazać dobre maniery, ale widzę, jak łapczywem okiem spogląda na jedzenie. Daję jej dojść do siebie, a tymczasem rozglądam się po sali.

*) skrót: „Inostrancew Snabženje".

Znam portowe knajpy Rotterdamu i Neapolu, do których wpływają wielkie Transoceaniki całego świata. Znam tawerny Vigo, Santander, Balbo, Coruny, drobne porty Francji, w których gromadzi się bractwo z cargots i z barek rybackich. W portach Hawanny piłem z murzynami koniak z trzciny cukrowej, w Vera Cruz po cyklonie, który zburzył dużą część portu, siedziałem w szopie, krytej liśćmi bambusowemi, i obserwowałem, jak pijane ryżową wódką białe kobiety, a raczej jakieś resztki, jakieś widma białych kobiet, usiłowały sprzedać murzynom białą skórę, jedyną wartość — symbol, która im pozostała.

To jednak, co widziałem w *Arbatskom Podwalczykie*, to była bezstylowa obrzydliwość. Ani w nim nie szumiały oceany, ani zbrodnie, ani nawet rozpusta. Lisie gęby jakichś „prikazczykow", moc hołoty ormiańskiej, gruzińskiej i jak się tam te wszystkie dzikoludy sowieckiego kotła zowią. Dziewczyny — proste robotnice, ale bez kokieterji dziewczyn z ludu, ubrane ubogo i bez cienia pretensji do choćby ubogiej elegancji. Latające spojrzenia rzezimieszków i ciężki opar wypitej gorzałki. Raz wraz rozpoczynające się bijatyki zręcznie likwiduje służba, wyrzucając pijaków za kołnierz na ulicę.

* * *

Moja towarzyszka okazała się biedną, zapędzoną przez życie kobieciną, prawdziwie wdzięczną, skoro zrozumiała, że nie potrzebuje się wdzięczyć, mizdrzyć, sadzić na wesołość i opowiadać pieprznych pseudo - kawałów, a mimo to dadzą jej się najeść dosyta. Pracuje jako posługaczka w jakiejś stołówce robotniczej przy fabryce. Zarabia 60 rubli miesięcznie. Rubel odpowiada na czarnej giełdzie naszym 15 groszom, na oficjalnej naszym czterem złotym 40 groszom, co pozwala sowieckim broszurom agitacyjnym, przeliczając zarobki robotników w Polsce według kursu oficjalnego, wykazywać masom niesłychaną nędzę polskiego robotnika. Nie będę odpłacał bolszewikom pięknem za nadobne, nie będę przeliczał zarobków posługaczki według czarnej giełdy, bo jednak siła kupcza naszego złotego tutaj jest o wiele większa, niż u nas w Polsce. Ale w każdym razie jest to niesłychanie mało. Nie dziwię się, że próbuje sobie dorobić. Ale raczej próbuje. Powiada, mimo, że jest niebrzydką dziewczyną, że nie ma amatorów. Czy dlatego, że o stosunek z kobietami jest łatwo i nie trzeba się uciekać do płatnej miłości? Jedyna półprostytutka, jaką w ciągu 7 dni napotkałem w Moskwie, nie miała klienteli.

* * *

Następnego dnia przeklinałem nocną turystykę po Moskwie, miałem bowiem ściśle wypełniony program, który wskutek zbyt późnego wstania poczynał się nie mieścić w nakreślonych ramkach. Z tego powodu miały wyniknąć brzemienne perypetje.

Zaprosiłem mianowicie na śniadanie w naszym hotelu pewnego dyplomatę sowieckiego, z którym ongiś przepłynęliśmy 17 dni jednym okrętem. A ponieważ chciałem się nagadać, prosiłem go o przyjście już na pierwszą. Ustalonym od kilku dni trybem wracałem zaś zwykle na śniadanie o 2-giej. Nadto tego dnia zamówiłem auto na jazdę zamiejską, każdy więc, kogo moja skromna osoba mogła interesować, miałby pełne podstawy przypuszczać, że nie ujrzy mnie w hotelu przed drugą.

Przyjechałem na pierwszą, zastałem mego gościa w hallu. Ongiś przez siedemnaście dni widziałem go w ciągu dnia w eleganckich garniturach tenisowych i spacerowych, wieczorem zaś w smokingu. Szampan był na dancingach wieczornych „obligatoir" i obaj z panem posłem musieliśmy ulegać burżuazyjnym wymogom, z tą różnicą, że ja stawiałem jedną butelkę, a on nieboraczek, wysączywszy jedną w naszem burżujskiem gronie, potem jeszcze jedną wydudlał ze służbą.

Teraz ledwom go poznał. Wspaniała rozłożysta broda, koszula czarna bez krawata i walonki za kolana... Poprosiłem go na salę i, zamówiwszy dania, poszedłem po książkę moją, którą mu miałem zadedykować. Portjer jednak nie miał klucza do mego numeru. Zdziwił mnie ten fakt i poszedłszy na pierwsze piętro, na którem zajmowałem numer, kazałem numerowemu otworzyć drzwi kluczem ogólnym.

Z tamtej strony drzwi... zastaliśmy jakiegoś typka w cyklistówce, który z tupetem dowodził, że pomylił się co do numeru. Kiedy sobie tego nie dałem wyperswadować, gentleman z miną bardzo autorytatywną oświadczył, że zaraz tu przyśle z dołu kogoś, kto wyjaśni mi cel jego wizyty.

— Ani chybi... G. P. U. — pomyślałem i dałem memu „gościowi" zejść na dół, kiwnąłem jednak na numerowego i biegliśmy za nim. Widząc, że wpada w turniket, prowadzący na ulicę, złapaliśmy go za łeb i odprowadziliśmy do pokoju Dyrekcji. Młody człowiek usiadł z wielką pewnością siebie na kanapie i powiedział: „Proszę dzwonić do wydziału śledczego, to wszystko wyjaśni".

— Dalibóg G. P. U. — pomyślałem i wycofałem się do hallu hotelowego. Mam miękkie serce i nikogo nie lubię zasypywać.

W hallu podszedł do mnie bardzo elegancki młody człowiek, porządnie wygolony, w kołnierzu z wydry i rzekł konfidencjonalnie:

— Niech się pan nie niepokoi. To się u nas czasem zdarza. Ale ja panu gwarantuję, że nie przepadnie panu najdrobniejszy przedmiot.

Na takie dictum nie miałem nic innego do roboty, jak wrócić do mego gościa na sali. Nagle przybiega numerowy, prosząc, żebym sprawdził rzeczy, bo w numerze wszystko jest przewrócone do góry nogami.

Istotnie. Małej walizki niema „wewogóle". Kufer-szafa wyciągnięty na środek pokoju i wypróżniony. Z nesesera powyrzucane wątpia i wciśnięty garnitur marynarkowy. Widać, że neseser miał być wyniesiony w drugą kolejkę.

No więc chyba nie G. P. U?

Zdekoncertowany, pożegnałem się z moim gościem i pojechałem do teatru, ale po teatrze zaraz, a przed teatrem wieczornym zajechałem do wczoraj poznanego w Metropolu inżyniera — Niemca.

— I pan ma wątpliwości? — zadeklamował inżynier. — Czyż pan nie zauważył sam, że w Moskwie hotele są strzeżone, jak fortece? Czyż jest możliwe, aby ktokolwiek bez wiedzy G. P. U. wślizgnął się do pańskiego pokoju? A czyż pan nie widział, że na każdym korytarzu, poza służbą bez liku, siedzi przy stoliku stały obserwator?

— Ależ gdyby to była G. P. U., to by mi nie zabrała rzeczy?

— Święta naiwności! Właśnie dla niepoznaki rzeczy panu zabrali. Chce pan? Założymy się, że wszystkie rzeczy co do jednej pan z powrotem otrzyma...

* * *

Wróciwszy do numeru, przeglądałem „Magnitogorsk" Standego.

Do drzwi zapukano.. To numerowy.

— Rzeczy pańskie się znalazły.

Dobrze, że się nie zakładałem z inżynierem Hartmanem. Przynajmniej w tej sprawie...

Z MUZYKI

W ubiegłym tygodniu ukazał się znowu na scenie Teatru Wielkiego arcymiły gość operowy, muzyczny pewniak nad pewniaki: „Cyrulik Sewilski". Nieśmiertelny kawalarz przyciągnął masę widzów. Bawiono się na przedstawieniu doskonale, z zapałem oklaskiwano psoty figlarza - golibrody. Oklaskiwano „Cyrulika" tem goręcej, że rolę tytułową odtwarzał Jerzy Czaplicki, świetny — jak wiadomo — śpiewak i aktor, a w dodatku doskonale umiejący się dopasować do tej zabawnej figury. W sposób prosty i naturalny wyławia on z partji Figara lekkość, werwę, humor, dowcip, subtelną gamę kunsztownych koncepcji dźwiękowych i wymyślnych konceptów sytuacyjnych.

Cyrulik dzielił swój tryumf z Ewą Bandrowską - Turską, gościnnie w naszej Operze występującą w roli Rozyny. Świetna artystka zbierała oklaski za swój piękny śpiew, za doskonale opanowaną we wszystkich szczegółach partję pod względem czysto wokalnym i interpretacyjnym. Mamy nadzieję, że znana powszechnie zabiegliwość dyrektorki Opery, p. Korolewicz - Waydowej, zdoła w ciągu sezonu niejeden jeszcze raz wyzyskać dla Teatru Wielkiego wyjątkowy talent naszej śpiewaczki.



Scena z „Cyrulika Sewilskiego" w Teatrze Wielkim.
Ewa Bandrowska-Turska, J. Czaplicki, Sowilska, Wroński i Użejku

Obok pp. Bandrowskiej i Czaplickiego solenizantem wieczoru operowego był Bolesław Bolko, kapitalny—jak zwykle—doktór Bartolo, rozśmieszający do łez swemi muzycznemi i aktorskiemi chwytami, któremi się posługuje z wprawą nadzwyczajną.

Groteskową postać don Basilia kreował p. Konstanty Użejku. Przystroił ją w charakterystyczny komizm, przemawiał głosem donośnym, artystycznie przekonywującym, ale całość realizacji nie była jeszcze przelana w formę zdefinjowaną, wyraźnie osobistą. Chwilami biegł nasz wzrok ku tradycyjnej aparycji Basilia - Mossoczego. A już prawdziwie tęskną myślą zwracaliśmy się do Adama Dobosza, kiedy zjawiał się na scenie aktor, wykonywujący partję Almavivy.



Wiktor Łabuński

Kierował przedstawieniem dyr. Dołżycki z zapałem, z dużem oddaniem się sprawie artystycznej. Czasem jednak nie trafiał w sedno rzeczy Rossini'owskich temp, wyrafinowanej delikatności brzmień partytury „Cyrulika".

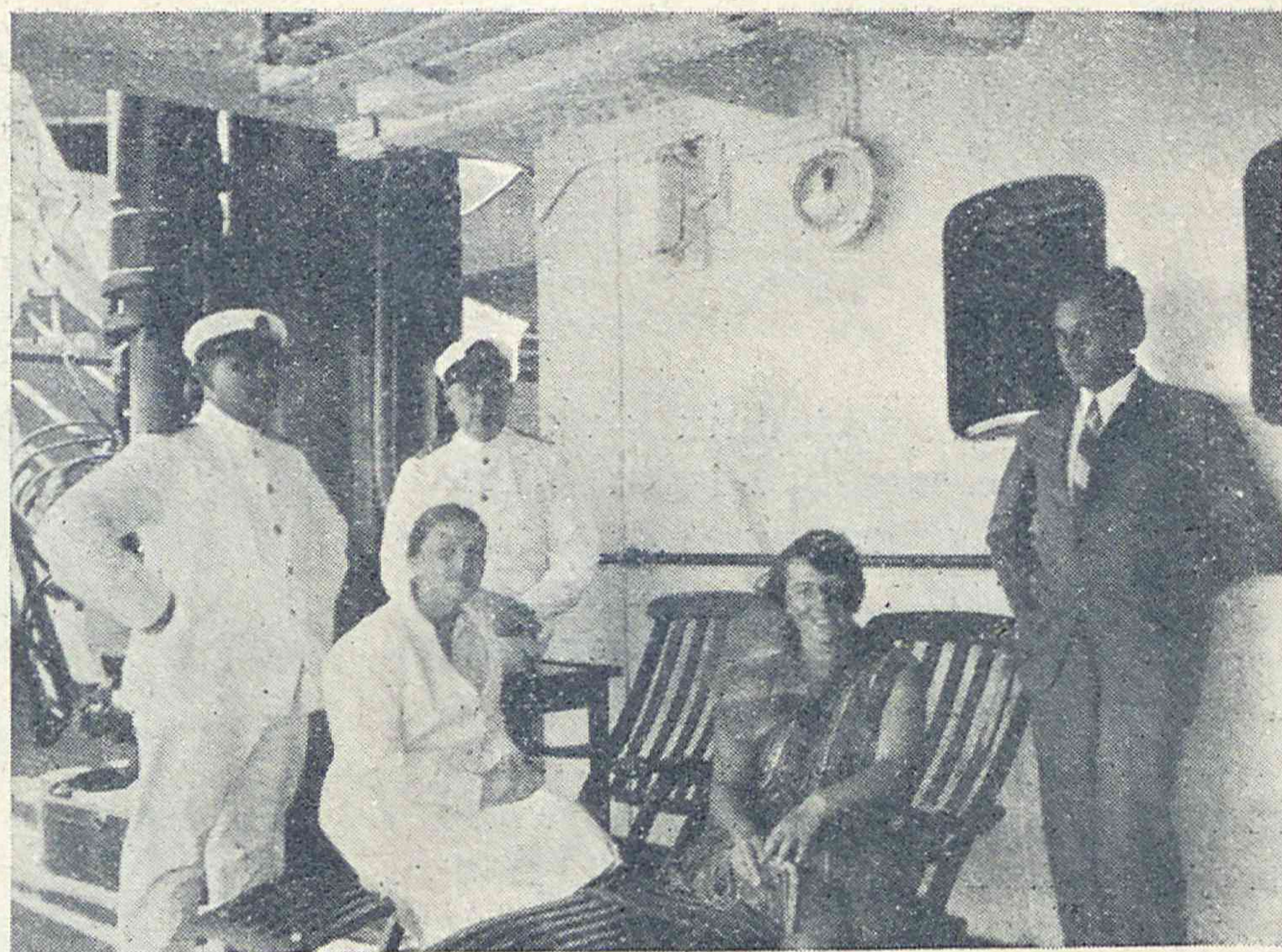
* * *

W sali Konserwatorjum wystąpił po dłuższej niebytności w kraju p. Wiktor Łabuński, dobrze z dawniejszych lat znany publiczności pianista. Ameryka, w której przez szereg lat przebywał p. Łabuński jako pedagog, nie zmieniła rodzaju jego gry — szlachetnej w dźwięku, rozważnej i skupionej. Utwory Bacha, Mozarta, Beethovena, Chopina i t. d. potraktowane były przez wirtuoza w płaszczyźnie muzycznego dostojeństwa.

(L. Bin.).

W MIASTACH I PUSZCZACH AMERYKI POŁUDNIOWEJ

W najbliższych dniach ukaże się wydana nakładem „Bibljoteki Polskiej" książka Bohdana Teofila Lepeckiego p. t. „W miastach i puszczach Ameryki Południowej". Poniżej zamieszczamy wyjątek z tej książki, poświęcony opisowi karnawału w stolicy Brazylji — pięknem Rio de Janeiro.



Bohdan Teofil Lepecki (pierwszy z prawej), w drodze do Ameryki Południowej. Obok p. Irena Lepecka.

Stosunek mężczyzny do kobiety w Brazylji, przynajmniej nazewnątrz, cechuje wielka powściągliwość. Nie do pomyślenia jest natrętne zaczepianie kobiety na ulicy, jak to, niestety, aż nazbyt często ma miejsce w miastach starej Europy. Na najcichsze nawet wezwanie o pomoc nadbiegłyby jej na ratunek tłumy mężczyzn i bez wchodzenia w szczegóły solidnie wygarbowałyby skórę niefortunnemu Don Juanowi. Wielu mieszkańców starego świata, nie znających stosunków lokalnych, gorzko odpokutowało zbyt gorące pragnienie nawiązania znajomości z pięknemi senjoritami brazylijskiemi. Europejczyk, przybywający do Brazylji, ze zdziwieniem przygląda się eleganckim, pełnym dystynkcji paniom, przechadzającym się z reguły pod czyjąś opieką po wspaniałych avenidach Rio de Janeiro i uważa za „bajkę z tysiąca i jednej nocy" opowiadania o gorącej krwi południowych Amerykanek. Przez myśl mu nie może przejść, żeby te dostojne senjory mogły być ogarnięte szałem niepohamowanej namiętności, zdolnej do potargania najświętszych więzów. Trzeba dłużej mieszkać w Brazylji i bacznie studjować miejscowe obyczaje, żeby przekonać się, iż spokój ten jest czysto zewnętrzny, że pod maską chłodu i poprawnej dystynkcji żarzą się płomienie niepohamowanego temperamentu, czekającego tylko na sposobność, aby wyładować się z wściekłą potęgą samumu.

Z początku uważałem Brazyljanki za chłodne posągi marmurowe, niezdolne do żywszych drgnień, doszedłem jednak do przekonania, że i one mają serca gorące, które potrafią płonąć i kochać. Piorunowym błyskiem, w świetle którego zarysował się istotny charakter Brazyljanki, był karnawał w Rio de Janeiro, w którym miałem przyjemność uczestniczyć w lutym 1931 roku.

Już na kilka tygodni przed oznaczonym terminem widoczne było ogromne podniecenie. Głównym przedmiotem rozmów był zbliżający się karnawał. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety, przygotowywali się godnie na jego przyjęcie. Projektowano najbardziej interesujące kostjumy i maski, mobilizowano potrzebną do zabawy gotówkę, zadłużano się u wszystkich, którzy chcieli jeszcze pożyczać. Prasa prawie o niczem innem nie pisała, tylko o projektowanych korowodach. Mniej mówiono o tem, co postanowił prezydent Getulio Vargas, lub powiedział słynny trybun rioski Mauricio Lacerda, a więcej o stroju, w jakim się powinno wyjść na ulicę w czasie karnawału. Krawcowe miały palce pokłute do krwi od wytężonej pracy. Właściciele samochodów, którym miała przypaść główna rola w pochodach karnawałowych, gorączkowo rozmyślali nad najpiękniejszem przyozdobieniem swoich maszyn. Młodziutkie dziewczęta naradzały się po kątach nad najrozkoszniejszem wykorzystaniem krótkich chwil swobody. Z głębi interioru ściągali do stolicy ludzie żądni zabawy, którzy cały rok zbijali grosz do grosza, nieraz kosztem bolesnych wyrzeczeń się, aby móc uczestniczyć w słynnym karnawale rioskim. Nawet służące oświadczały paniom, że nie mają co liczyć na nie w dniach karnawału, gdyż i one mają prawo do szczęścia.

Nadszedł wreszcie dzień upragniony. Wyszedłem na ulicę i z ogromnem zdumieniem stwierdziłem, że życie rioskie stanęło na głowie. Zniknęły gdzieś bez śladu dostojne i powściągliwe senjory. Jakiś kataklizm zmiótł je z powierzchni ziemi. Na ich miejsce wysypały się tłumy figlarnych djabełków w płaszczach kąpielowych, pyjamach, murzyńskich sukienkach z trawy suszonej, męskich garniturach, różnokolorowych maskach, w zabawnych amerykańskich, rogowych okularach. Nucąc znaną piosnkę karnawałową „Agora vae mudar minha conducta" („Dzisiaj zmienię swoje prowadzenie"), biegały po zalanych gorącem, letniem słońcem ulicach, biły w bębenki, trąbiły, gwizdały, śpiewały, tańczyły, formowały improwizowane pochody, ciskały serpentyny na przechodzących mężczyzn, również ubranych w stroje karnawałowe i zakrytych dominami. Co chwila buchały kaskady szczerego śmiechu... Jezdniami sunęły nieskończone węże samochodów, przepełnionych młodzieżą, która powyłaziła nawet na dachy wozów. Wszystko to krzyczało, śpiewało, weseliło się. Grupy kolorowych mieszkańców przedmieść, przybranych w jaskrawe płachty, strojnych w paciorki i inne pstre ozdoby, sunęły krokiem tanecznym po asfaltowanych a v e n i d a c h, trąbiąc, bębniąc i śpiewając. Radość była powszechna i żywiołowa. Nikt prawie nie pracował, choć nie było oficjalnego święta. Bawiono się wszędzie: w domach prywatnych, pensjonatach, hotelach, na ulicach, w tramwajach. U nas tego rodzaju zabawa, w której bierze udział cała, bez wyjątku, ludność olbrzymiego miasta, nie obyłaby się bez nieprzyjemnych wybryków. W Brazylji, pod błękitnem niebem podzwrotnikowem, wśród ludzi pierwotnych nieco, ale pełnych wysokiego poczucia godności osobistej i szacunku dla godności innych, wspaniała festa karnawałowa odbywa się bez godniejszych uwagi wykroczeń. Radość jest żywa i silna, ale wyraża się przyzwoicie, bez chamskich wyskoków. Zwłaszcza podziwiałem murzynów - analfabetów, których ciemnota i bieda nie pozbawiły dystynkcji i dziecinnej pogody, tak właściwych ich miłej rasie. Być może również, że spokojny przebieg karnawału rioskiego przypisać należy i temu, iż uczestnicy jego nie używali prawie

wcale alkoholu, który w Brazylji, zwłaszcza wśród autochtonów, nie cieszy się wielkiem powodzeniem.

Z wielkim trudem, przeciskając się przez rozbawione tłumy, dotarłem wreszcie do głównego ogniska zabawy karnawałowej — Avenidy de Rio Branco. Niepodobna opisać widoku, jaki przedstawiała wówczas główna ulica rozbawionego Rio de Janeiro. Przepełniały ją olbrzymie tłumy i to tak gęste i zbite, że samochody karnawałowe tylko bardzo powoli mogły przeciskać się środkiem jezdni wśród falującego morza ludzkiego. Ze wszystkich stron ciskano confetti i serpentyny. Ludzie po kostki brnęli w kolorowych śmieciach. Oblewano się również chłodnym eterem, który wytryskał z buteleczek, t. zw. „biznag" za naciśnięciem minjaturowej klameczki, stanowiącej clou maleńkiego aparatu, przytwierdzonego do buteleczki. Tutaj zobaczyłem wreszcie prawdziwą naturę Brazyljanki, wyzwolonej z konwenansów, idącej tylko za popędem własnych pragnień. Widziałem, jak nawiązywało się tysiące flirtów, niekiedy niewinnych, jak uśmiech dziecka, to znów poważniejszych, znajdujących swój epilog w dyskretnych, tajemniczych zakątkach, które miłość zawsze wynaleźć potrafi. Ukryte pod nieprzenikliwem dominem, powściągliwe i chłodne senjory szalały, jak rzymscy niewolnicy w czasie saturnalij. Za nic miały swoich wczorajszych panów - mężów, rodziców, braci. Ich prawa zwierzchnicze traciły w czasie karnawału swoje znaczenie. Nie było takiej siły, którabv mogła zmusić je do pozostania w domu. Niedarmo przecież śpiewały „Agora vae mudar minha conducta". Któż zdoła policzyć mężów, którym wyrosły rogi w czasie saturnalij karnawałowych? Chyba nie oni sami, bo prawdopodobnie mieli wówczas coś lepszego do roboty.



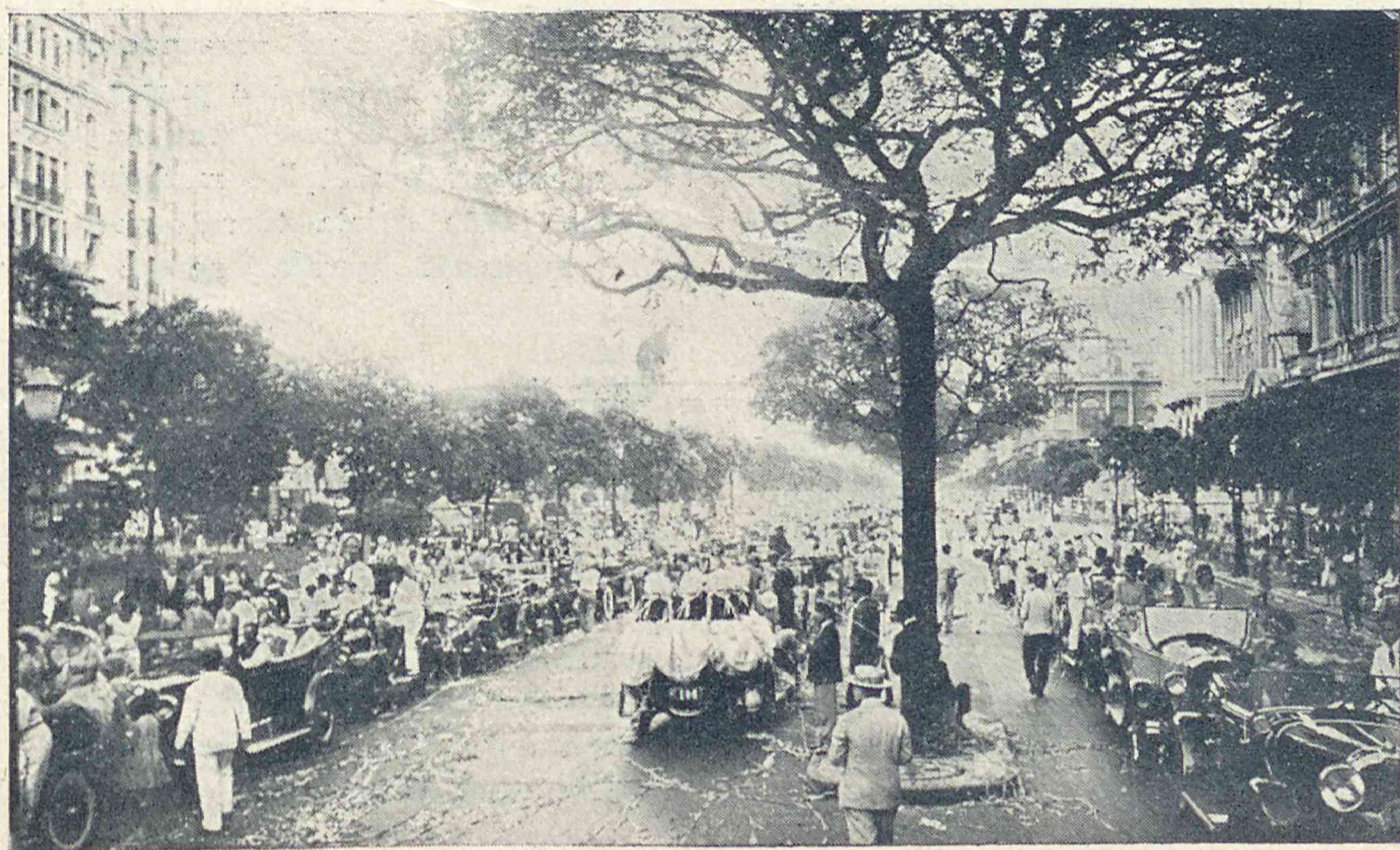
Senjory brazylijskie w strojach karnawałowych...

Ochoczość karnawałowa jednak dopiero wieczorem dochodziła do swego punktu kulminacyjnego. Rozjaśnione tysiącami świateł miasto, ochłodzone rzeźwą bryzą, wionącą od pobliskiego oceanu, zamieniało się w jakąś olbrzymią salę balową pod gołem niebem. Oczarowany patrzyłem na kipiące życiem avenidy, nie wiedząc, czy to, co widzę, jest rzeczywistością, czy też jakimś cudownym snem na jawie.

Karnawał w 1931 roku wydawał mi się wielkim i wspaniałym. Ci jednak, którzy mieszkali dawniej w Rio, mówili, że ani się umywał do dawnych karnawałów, z epoki dobrej konjunktury gospodarczej. Ludzi było na ulicach dużo, może więcej niż w ubiegłych latach, ale brakowało dawnego splendoru. Jeden z moich znajomych tak sprecyzował różnicę między dawną wspaniałością a dzisiejszą rzekomą mizerją:

— Dawniej, panie kochany, na Avenidzie de Rio Branco widziało się tylko „porządną" publiczność, mało kto chodził piechotą. Wszyscy jechali w świetnie przystrojonych samochodach. Bogactwo aż kipiało. Dzisiaj... kogo pan widzi na głównych ulicach? Murzynów i mulatów. Przed dwoma laty nie pchali się tak do środka miasta. Teraz po tej przeklętej rewolucji*), kiedy kryzys dusi porządnych ludzi, ciśnie się to kolorowe bractwo na Avenidę. Co za czasy..."

Nie podzielałem jego zmartwienia. Przyznam się szczerze, że więcej mi się podobała dziecinna wesołość kolorowych, niż sztuczne nieco rozradowanie stuprocentowych „bladych twarzy". Ten, kto cierpi na nostalgję, kto nie potrafi odczuwać pełnemi piersiami radości życia, powinien pójść na zabawę murzyńską i popląsać z czarnymi. Zrozumie wówczas, że biały mógł zrobić wiele, mógł swoim mądrym trudem opanować świat, mógł pokusić się o rozwiązanie wielu trapiących ludzkość zagadek, nie potrafił jednak pokonać własnej nudy. Tej sztuki może go nauczyć tylko kochany, miły, tak niesłusznie lekceważony — ciemny brat.



Avenida de Rio Branco, w Rio de Janeiro, w czasie karnawału

*) Po zwycięskiej rewolucji w październiku 1931 r.

O DAWNEM ŻYCIU MUZYCZNEM W ITALJI

Epoka Odrodzenia w Italji to jeden z najciekawszych okresów kultury. Łączy ona bowiem z jednej strony wiele pozostałości średniowiecznego barbarzyństwa, o którem się rzadko pisze i mówi, i z drugiej strony — zadziwiający i wspaniały wzlot ducha ludzkiego. Życie kulturalne osiąga poziom niedościgniony: nigdy nie skupiła się w jednym kraju i w jednym czasie taka ilość talentów i genjuszów i to z tak różnorodnych dziedzin, jak w Italji 15-ego i 16-ego stulecia. Jakaś nadzwyczajna siła i świeżość, jakiś żywiołowy pęd ogarnął wszystkich. Sztuki plastyczne i literatura wydają dzieła o wartości dotychczas niezachwianej, dzieła, stanowiące dotychczas wzór zrównoważenia, dojrzałości umysłu i piękna.



Tycjan — „Koncert"

Również i muzyka nie pozostała za innemi sztukami w tyle, muzyka, może dla nas dzisiaj nie tak bliska i dostępna, jak inne sztuki; dystans ten jednak znajduje swe wytłumaczenie w samej istocie muzyki, a przedewszystkiem w małej naogół znajomości muzyki z tego okresu. Faktem jest, że utwory Palestriny (powstałe z ducha epoki Odrodzenia) należą do najgenjalniejszych dzieł renesansowych i literatury muzycznej wogóle.

W ciągu 16-ego stulecia rodzą się w Italji nowe formy muzyczne, zarówno na polu muzyki kościelnej, jak i świeckiej; tam powstają zaczątki opery, a wreszcie i opera sama. W tym właśnie czasie przesuwa się punkt ciężkości życia muzycznego z innych krajów na Italję. Odtąd staje się Italja krajem obiecanym, stanowi cel pielgrzymek artystycznych dla muzyków z wszystkich stron Europy.

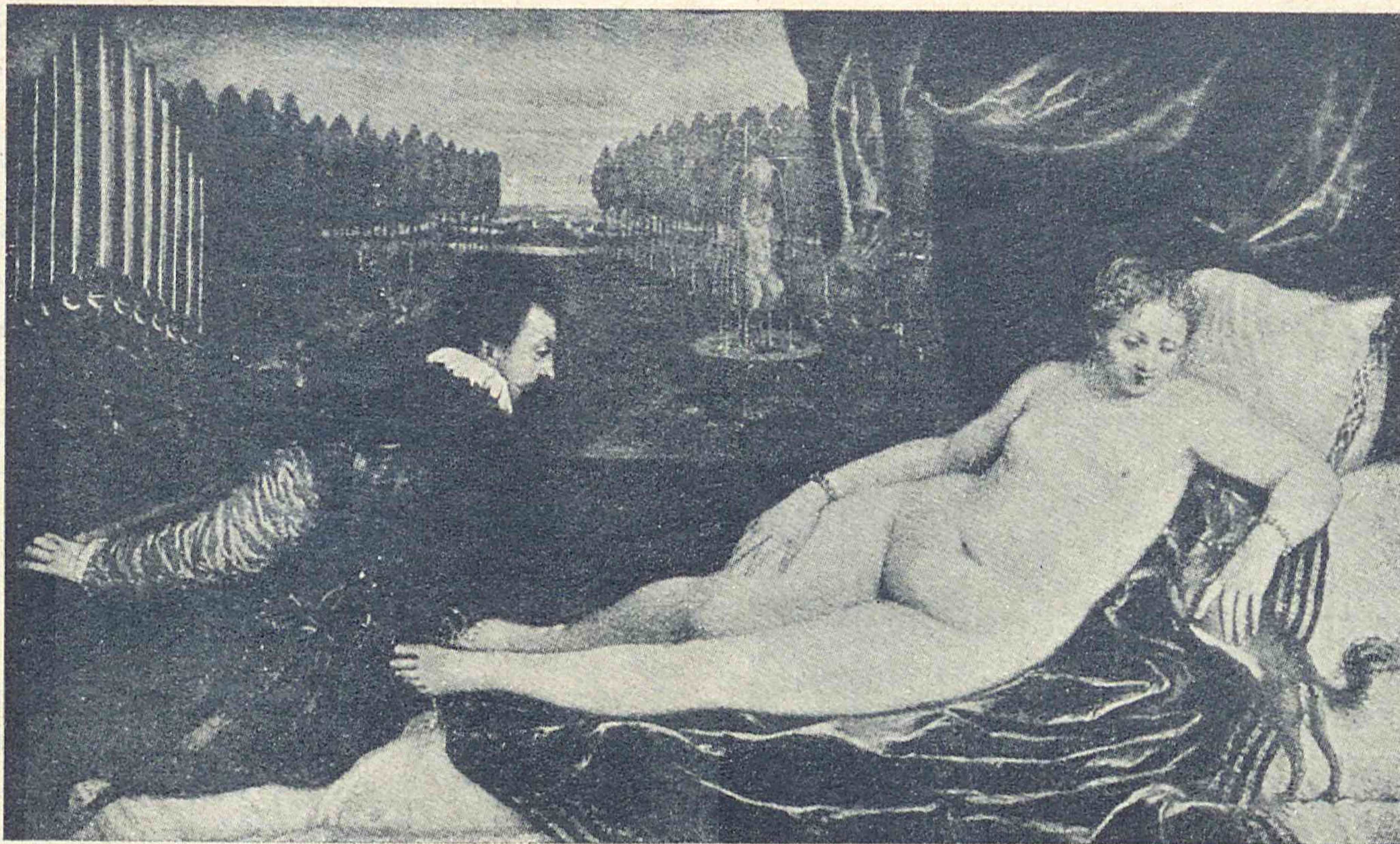
Wysoki poziom kulturalny zawdzięcza Italja nietylko wybitnym jednostkom, lecz również ogólnemu nastawieniu umysłów ówczesnego społeczeństwa — w wychowaniu młodzieży kładziono jaknajwiększy nacisk na znajomość sztuki: dziewczęta z „dobrych domów" kształciły się na równi z chłopcami w literaturze, plastyce i muzyce. Salony kurtyzan były zarazem punktami zbornemi poetów, muzyków, malarzy i t. d., bo do zawodu kurtyzany należała także znajomość rozrywek umysłowych. Niejedna z nich wsławiła się jako poetka, malarka lub kompozytorka.

Największe jednak znaczenie dla rozwoju muzyki miały *dwory* książąt i możnych panów. Wytworzył się w tym czasie — obok prawdziwego zamiłowania i zrozumienia — wręcz snobizm na tym punkcie. Każdy nieco większy dwór poczytywał sobie za szczególny zaszczyt skupiać u siebie jaknajwiększą ilość sław muzycznych. W wyszukiwaniu i ściąganiu artystów do siebie nie przebierano w środkach: wysyłano posłów i ambasadorów na inne dwory, by tam wybadać stosunki muzyczne i by stamtąd odciągnąć colepsze siły. Przekupstwo odgrywało tu również doniosłą rolę. Artyści, którzy pobierali od swych panów stały żołd, chętnie szli na inny dwór, jeśli ofiarowano im lepsze warunki. Powstawały na tem tle najrozmaitsze kłótnie i spory, wymiany not dyplomatycznych, nienawiści i urazy. Z mniej znacznych chórów kościelnych porywano małych chłopców o pięknych głosach, by w ten sposób posiąść dobrych śpiewaków dla swych zespołów kościelnych czy dworskich. Prostemi lub skomplikowanemi sposobami zdobywano więc pierwszorzędne siły, by potem popisywać się niemi na rozmaitych uroczystościach, wydawanych na cześć posłów obcych państw, w czasie zaślubin, chrzcin i pogrzebów, świąt kościelnych, miejskich i t. d.

Nietylko jednak starano się o dobre siły wykonawcze. Wielką wagę przykładano również do samych instrumentów muzycznych. Sprowadzano je dla swych kapeli z najróżniejszych miast i krajów; wyszukiwano najlepszych w budowie instrumentów mistrzów, by stale dwory zaopatrywali. Instrumenty przechowywano starannie, spisywano w specjalnych inwentarzach. Na niektórych dworach przeznaczono nawet specjalne izby dla ich przechowywania, dla odbywania prób oraz na bibljoteki, zawierające nietylko materjał nutowy, ale także dzieła teoretyczne, których znajomość bywała naogół wymagana.

Obok inwentarzy instrumentów, przechowały się też spisy muzyków, zaangażowanych na jakimś dworze. Zazwyczaj było ich niewielu, bo gustowi epoki odpowiadał raczej dźwięk małego zespołu, niż wielkiej kapeli. Natomiast każdy z muzyków musiał być znakomitością i sławą w swym fachu i władać kilkoma instrumentami. Pochodziło to stąd, że jedną i tę samą kompozycję można było

(i nawet należało) — stosownie do okoliczności — wykonywać w różny sposób. Kompozytorowie tego czasu bowiem nie oznaczali w swych utworach obsady, lecz pozostawiali wolny wybór instrumentów wykonawcom. Dobierano więc czyto głosy ludzkie, czy instrumenty, czy wreszcie kombinowano te obie możliwości. Dla prywatnej przyjemności księcia, czy w prywatnem życiu wykonywano je w małej obsadzie, przyczem zazwyczaj brał udział śpiewak lub śpiewaczka. Przy większych uroczystościach wykonywano ten sam utwór (n.p. 4-głosowy madrygał) w zespole większym, przyczem kilka instrumentów grało jeden głos. Zdarzało się czasem, że kapela dworska nie wystarczała. Wówczas brano muzyków gmin miejskich, śpiewaków z poblizkich kościołów, lub, w wypadku ostatecznym, muzyków z publiczności. Naogół jednak wystarczała kapela dworska.



Tycjan — „Wenus słuchająca gry na organach"

Muzyka w czasie biesiad była na porządku dziennym. Grano między poszczególnemi potrawami. (Opisy z tego czasu podają bardzo szczegółowo wygląd i rodzaj potraw, dekorowanych, jak wiadomo, przez największych artystów: rzeźbiarzy, złotników i malarzy). Repertuar zespołów składał się z rozpowszechnionych wówczas kilkugłosowych madrygałów, lekkich (często nawet sprośnych) willanelli, frottol i kanzon, albo poważnych motetów. Szczególnie dbano o różnorodność dźwięku, więc zmieniano często obsadę: raz grała orkiestra pełna, drugi raz instrumenty wraz ze śpiewem, kiedyindziej rozlegał się sam śpiew.

Innym ważnym obowiązkiem kapeli dworskiej były koncerty podczas przedstawień teatralnych. W czasie Odrodzenia lubowano się w nadzwyczaj wystawnych i pomysłowych spektaklach, konstruowano za pomocą najbardziej skomplikowanej machiny chmury unoszące się w przestworzach, cudowne groty, jaskinie, wnętrza piekieł i niebios. Sprowadzano w tym celu specjalistów - architektów, rzeźbiarzy i malarzy (m. in. Leonarda da Vinci); tekstu do sztuk dostarczali najlepsi pisarze: Ariosto, Torquato Tasso i t. d. W antraktach odbywały się krótkie, allegoryczne przedstawienia muzyczne, t. zw. „Intermedia". Ich treść stanowiły tematy, zaczerpnięte ze świata antycznego, szczególnie mitologji. Orfeusz, Wenus, Apollo — oto główne postacie sceniczne. Przytem, w logicznym związku z treścią spektaklu rozbrzmiewała zawsze muzyka komponowana specjalnie przez najpierwszych muzyków i często przez nich samych wykonywana. Z tych to „intermedjów" powstała późniejsza forma operowa.

I w życiu codziennem muzyka odgrywała ważną rolę. Prawie każdy książę czy możny pan sam grał lub śpiewał (i to zwykle w małem tylko gronie muzyków). Podobnie działo się w domach zwykłych śmiertelników. Muzyka była integralną częścią życia towarzyskiego, należała do codziennych rozrywek. Szczególnie w okresie letnim, kiedy zamożne panie wyjeżdżały do swych podmiejskich posiadłości na willegiaturę, muzykowano bardzo dużo. W każdem prawie towarzystwie znajdowała się jakaś śpiewaczka, jakiś dobry wirtuoz na violi da gamba, flecie lub lutni i t. p. Obowiązujący kodeks towarzyski tego czasu: „Il Corteggiano" Castiglione'a, który zresztą i w Polsce był obowiązujący — tłumaczony przez Ł. Górnickiego p. t. „Dworzanin polski" (1566), — poświęca muzyce wiele miejsca i uważa ją za towarzyski obowiązek kulturalnego człowieka.

Dziś w czasie „rzeczowości", walki życiowej i kultu dla techniki spoglądamy ze zdumieniem i podziwem na okres Odrodzenia a czasami nawet z ...zazdrością.

Dr. Emilja Elsner.



Sebastian Florigerio — „Śpiew chóralny"

KARDYNAŁ GASPARRI



Zmarł kardynał Gasparri.

Kardynał Gasparri był wybitną indywidualnością. Dostojnikiem, który w biegu spraw Kościoła katolickiego odegrał wielką rolę. Kardynał Gasparri był sekretarzem stanu w Watykanie przy dwuch papieżach. Już sam ten fakt był niezwykły. Dotychczasowa bowiem tradycja ustaliła, iż niemal bezpośrednio po Conclave — nowy papież powoływał na swego najbliższego współpracownika nowego sekretarza stanu. Tymczasem po śmierci Benedykta XV papież Pius XI — pozostawił na odpowiedzialnym stanowisku kierownika dyplomacji i polityki watykańskiej kardynała Piotra Gasparri. Było to tem dziwniejsze, iż charaktery i indywidualności silne i zdecydowanie zarysowane nowego Ojca Świętego i kardynała zdawały się zapowiadać trudności porozumienia się. Jednym ze szczegółów charakterystycznych dla zmarłego kardynała Gasparri był fakt, iż zarówno w dyplomacji rzymskiej, jak i wśród ludu mówiło się o nim poprostu: „Il cardinale".

„Kardynał powiedział", „kardynał ma zadecydować"; pomimo iż w Rzymie mieszka stale kilkunastu kardynałów — nikt nie miał wątpliwości, że ten „kardynał" — to tylko i właśnie kardynał Gasparri.

Kardynał Gasparri uchodził za człowieka trudnego i niedostępnego, miał zdecydowaną, zarysowaną wolę, przechodzącą nierzadko w upór. Dzięki temu nieraz stanowił twardy orzech dla ambasadorów i posłów przy Watykanie. Świetnie poinformowany, finezyjnie domyślny, często zdawał się dobrotliwie igrać ze świeckimi dyplomatami, starając się zawsze sprowadzać ich do roli petentów. Decyzje swe potrafił otaczać tak ścisłą tajemniczością, iż często podawano go powszechnie za najzagorzalszego przeciwnika jakiejś koncepcji, którą właśnie „kardynał" przeprowadzał.

Przez długi czas uważano go w prasie włoskiej za wroga faszyzmu. Atakowano go nawet parokrotnie tak gwałtownie, iż doprowadzało to nawet do interwencji półoficjalnych. „Kardynał" —uważany był za patrona i opiekuna stronnictwa popolarów i słynnego ich przywódcy Don Sturzo. Wiele insynuacji prasowych rozsiewano z tej racji na łamach prasy faszystowskiej — a jednak... właśnie kardynała Gasparri'ego okryła laurami pochwał, zarzuciła kwiatami tryumfu ta sama prasa za porozumienie Watykanu i Kwirynału — za pakt Laterański. Miałem możność dwukrotnie rozmawiać z kardynałem Gasparrim. Wśród licznych rozmów, jakie miałem z nawybitniejszymi dyplomatami, rozmowa z kardynałem Gasparri wywarła na mnie niezatarte wrażenie. Z pod krzaczastych brwi patrzyły na mnie przenikliwe, mądre oczy; słowa pozbawione tumanu dyplomatycznego były jasno sprecyzowane, *tchnące szczerością, a tak precyzyjne*, że nie było w nich nawet akcentu, jakiby pozwolił przypuszczać, że ta szczerość była w rozbieżności ze świadomą wolą.

Kardynał Gasparri odszedł, pozostawiając za sobą monumentalny rozdział dyplomacji watykańskiej po wojnie. Jest to rozdział olbrzymi w dziejach polityki Watykanu — będzie on niewątpliwie świecić przykładem zwycięskiej woli i finezji.

L. Ch.

ODCZYT MIN. STRASBURGERA W WIEDNIU

20-go listopada wygłoszony został w Wiedniu, w wielkiej sali Izby Handlowo - Przemysłowej, mieszczącej w sobie kilkaset osób, odczyt b. Ministra, D-ra Henryka Strasburgera, na temat podstawowych zagadnień polskiej polityki gospodarczej.

Po zapoznaniu słuchaczy z zadaniami naszej polityki morskiej i niektóremi koniecznościami reglamentacji naszej produkcji w związku z interesami poszczególnych dzielnic, prelegent zatrzymał się dłużej nad jednem szczególnem zjawiskiem polskiego życia gospodarczego, t. j. wielką różnicą stopnia rozwoju gospodarczego między zachodem i wschodem. Już polski geograf Romer stwierdził, że niema kraju na świecie o tak wielkiej różnicy rozwoju kulturalnego, jak Polska. Znajduje to swój wyraz przedewszystkiem w dziedzinie gospodarczej. Mieszkaniec zachodniej Polski konsumuje np. 56 razy więcej węgla, albo 10 razy tyle żelaza, co mieszkaniec kresów wschodnich.

Taka wielka rozpiętość stawia przed Polską wielkie zadania, ale otwiera też wielkie możliwości przed polskiem życiem gospodarczem. Jeżeli politycy i ekonomiści międzynarodowi widzą ratunek Europy w ściślejszem zespoleniu przemysłowych państw Zachodu ze stojącemi na niższym stopniu rozwoju gospodarczego państwami Wschodniej Europy, to Polska jest w tem szczęśliwem położeniu, że łączy w granicach jednego państwa terytorja o tak różnem napięciu gospodarczem.

Polska jest zatem mniej zależną od gospodarki międzynarodowej, aniżeli inne kraje. Posiada ona możność znacznego pogłębienia swojego rynku wewnętrznego. Widzimy też, że o ile np. eksport z Polski na skutek kryzysu spadł do 38% w porównaniu z r. 1928, to produkcja przemysłowa spadła mniej, bo do 55%, a ruch kolejowy tylko do 78%. A zatem, przemysł i koleje pracują obecnie stosunkowo w większym stopniu dla rynku wewnętrznego, aniżeli przedtem.

Dla przyspieszenia tego procesu Polska potrzebuje jednak wielkich kapitałów. Potrzebuje ona ich także dlatego, ponieważ w Polsce w przeciągu dwóch lat przybywa koło miljona mieszkańców, a więc liczba równa mniej więcej ludności Warszawy. Ze względu na swoje położenie, Polska musi też prowadzić politykę zagraniczną wielkiego mocarstwa. Ale taka polityka wywołuje znowu konieczność wielkich wydatków.

Dlatego sprawa wewnętrznej kapitalizacji, czyli wzbogacenia kraju i powiększenia środków produkcji, jest dzisiaj naczelnem zadaniem polskiej polityki gospodarczej. Od jej właściwego rozwiązania zależeć będzie przyszłość Polski.

MIGAWKI ZE ŚWIATA

Głupich nie sieją

(x) W Texas powstała nowa sekta religijna. Na jej czele stanął „brat Ezechjel". Brat Ezechjel przekonał swych wyznawców, iż „w niebie" czynione są przygotowania do nowego potopu. To objawienie szefa sekciarzy wywołało popłoch. Ale od czegóż przedsiębiorczość amerykańska. Postanowiono ratować wyznawców. Zaczęto budować nowoczesną arkę Noego. Będzie ona cała z metalu — długości 300 metrów, wyposażona we wszystkie urządzenia komfortowe. Nowy potop — według przepowiedni Ezechjela —będzie miał miejsce między 19 a 26 kwietnia 1935 roku. Niema więc czasu do stracenia. Arka budowana będzie we wzmożonem tempie. Miejsca zamawiane i sprzedawane są zgóry. Napływ kandydatów jest tak wielki, iż przewidywana jest konieczność budowy drugiej, a nawet trzeciej Arki potopowej. „Brat Ezechjel" ulokował już tysiąc akcji dających prawo do schronienia się w Arce. Każda taka akcja kosztuje bagatelkę — *100 dolarów!* Jeśli więc przerażonych jego przepowiednią wyznawców nadal będzie przybywać w tem tempie, sprzedawca miejsc w Arce Nowego Potopu zbierze pokaźną sumkę. Jedno jest tylko w tej imprezie niepokojące—brat Ezechjel mieszka o 100 metrów od granicy Meksyku — każdej więc nocy może on „zanurzyć się" w niezbadanych terenach meksykańskich, zanim nowy potop zanurzy świat i zanim rozpocznie się budowa zbawczej Arki. „Prorok, wynalazca, wódz sekty, sprzedawca akcji i kasjer imprezy potopowej" z łatwością zbuduje sobie swój własny Ararat życiowy z przynoszonych mu dolarówek. No a naiwni akcjonarjusze w gruncie rzeczy o ile „potop" nie spełni się też ocaleni będą, choć kieski ich lżejsze będą o 100 dolarów.

POLOWANIE U PREZYDENTA FRANCJI



W Rambouillet odbyło się polowanie dyplomatyczne, w którem wzięli udział: ambasador Anglji, ambasador Chłapowski (trzeci od lewej), ambasador Stanów Zjednoczonych, Niemiec etc.

MUNDURY W SZKOŁACH WŁOSKICH



We włoskich szkołach elementarnych wprowadzono, jak widzimy na zdjęciu, mundurki dla dzieci. Więcej nawet: regulaminowe mundury obowiązują i nauczycielki. Sfotografowana tu wychowawczyni ubrana już jest „przepisowo". Szczęśliwe kraje, które mają tylko takie kłopoty... Wydaje nam się, że dla istoty nauczania nie są one może najważniejsze.

O ileż większe znaczenie wychowawcze mieć może np. akcja zapoczątkowana w Warszawie wśród uczniów szkół powszechnych na ulicy Karolkowej, a mająca na celu przyzwyczajenie dzieci od lat najmłodszych do... oszczędzania. „Filją P. K. O." można rzeczywiście nazwać te szkoły, gdzie wszystkie dzieci oszczędzają, choćby po groszu nawet, a po uciułaniu złotówki uroczyście udają się do centrali P. K. O. na Jasną dla wyrobienia własnej książeczki. Ten system oszczędzania napewno „wejdzie im w krew" — i tak właśnie narastają najpewniej nowe kadry ciułaczy w Polsce.

ZWIĄZEK AKTORÓW PRZECIWKO AKTOROM

Kiedy w r. 1919 z inicjatywy Stefana Jaracza i Juljusza Osterwy przystąpiono do założenia Związku Artystów Scen Polskich, zdawało się, że organizacja ta odegra pierwszorzędną rolę w historji teatru i aktorstwa polskiego.

Pierwsze lata działalności związku przyniosły wiele dobrego. Regulację gaż, konwencje na prowadzenie teatrów, obronę interesów moralnych i materjalnych. Lecz trwało to stosunkowo niedługo. W państwie aktorskiem coś się zaczęło psuć. ZASP zaczął dbać nie o interesy ogółu, lecz uprzywilejowanych. Założono ogromne biuro, dające dostatnie utrzymanie dyrektorowi i jego bliższej rodzinie, wydawano kosztowne pismo „Scena Polska", wypełnione belferskiemi rozprawami i nieprawdopodobną ilością nudnych okólników, patrzono przez palce na łamanie i obchodzenie konwencji. Tymczasem, dzięki wadliwej konstrukcji statutu, bezrobotny aktor cierpiał nędzę i nie mogąc płacić wysokich składek (12 — 16 zł. mies.) był wyrzucany... z własnej organizacji. Jaśniejszym i konkretnym czynem, była budowa schroniska w Skolimowie, rzecz jednak za mała na 15 lat działalności.

Od czasu do czasu ZASP przypominał się ogółowi drobnemi skandalikami, uwieńczonemi głośną aferą, jaką było założenie i bankructwo „Teatru Artystów". Poważniejsi członkowie zaczęli się usuwać od „owocnej pracy" i wkońcu ster rządów dostał się w ręce ludzi zupełnie nieodpowiednich i niewiele mających wspólnego z teatrem.

Po ostatniej aferze z „Teatrem Artystów", dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności nie zakończonej kompromitującym procesem,—ZASP znowu dał znać o swojej działalności, wykreślając z listy członków szereg wybitnych aktorów, ponieważ walczą oni z bezrobociem, podtrzymują teatry, nie poddając się rygorowi niemożliwych do zrealizowania obecnie paragrafów i biurokratycznych świstków. Za to właśnie wydaleni zostali z Zaspu: Janina Korolewicz-Waydowa, Stefan Jaracz, Ewa Turska-Bandrowska, Karol Benda.

Jak się odnoszą do tej uchwały poszkodowani?

STEFAN JARACZ.

Znakomity aktor, inicjator ZASP, w ten sposób uhonorowany przezeń w trzydziestym roku pracy scenicznej, od pięciu lat prowadzi na własną rękę teatr, dający utrzymanie kilkunastu rodzinom. Bynajmniej nie zamierza on poddać się bezwzględnej dyktaturze.



Stefan Jaracz w roli Napoleona w „Madame Sans-Gêne" Sardou

„Uważam ZASP za organizację wymagającą szybkiej likwidacji. Punkty konwencji są przestarzałe, godzące w przedsiębiorcę i aktora. Związek powinien bronić poziomu teatru a nie papieru. Przymusy organizacyjne są nonsensem, omijanym od początku.

„Muszę zaznaczyć, że mój teatr jest jedynym teatrem w Polsce, ponoszącym wszystkie ciężary i egzystującym bez subwencji. Tego panowie z ZASP'u zrozumieć nie chcą. Wolą, abym ja i kilkunastu moich kolegów zdychało z głodu, lecz aby formalnościom stało się zadość. Ja jednak żyć będę bez Związku, bo już poparła mnie cała opinja i publiczność".

EWA BANDROWSKA-TURSKA.

Europejskiej sławy śpiewaczka, znana na wszystkich scenach. Pierwsza artystka polska, która występowała w Sowietach, budząc powszechny entuzjazm, też jest „szkodnikiem organizacyjnym", ponieważ śpiewa w Operze Warszawskiej.

„Decyzja ZASP'u, wykreślająca mnie z listy członków, wzbudziła we mnie tylko uczucie niesmaku. Związek uważam za przeżytek, organizm niewspółczesny. Udawadniają to fakty. Przed paru laty magistrat poznański zaproponował ośmiomiesięczne kontrakty z dużemi gażami, pozwalającemi na poczynienie pewnych oszczędności do przeżycia w wolnych od pracy okresów. Większość zespołu zgodziła się, lecz veto swoje położył ZASP. Miasto skorzystało z tego i zamknęło operę. Lecz o bezrobotnych nikt się nie zatroszczył. Jakakolwiek akcja w tym kierunku do zadań związku nie należy".

BEZROBOTNY AKTOR.

„Drugi sezon jestem bez engagement. Dreptałem, chodziłem, błagałem o pomoc. Otrzymałem ją wreszcie, bo wyrzucono mnie z Zaspu, za niepłacenie składek. Dorywczo nigdzie grywać nie mogę, bo nie pozwala na to... konwencja. Słowem, mogę kraść, żebrać, lecz grać mi nie wolno. Na szczęście, mam ładny charakter pisma i dostałem przepisywanie akt u rejenta. Z tego niewielkiego zarobku utrzymuję żonę, dziecko i siebie..."

Stosunki panujące w ZASP'ie wymagają gruntownej rewizji, są bowiem kompromitujące dla godności aktora polskiego. W pewnych kołach mówi się o mianowaniu komisarza rządowego, Jaracz nosi się z zamiarem założenia zdrowej i racjonalnej organizacji p. n. „Zawodowy Związek Teatralny". Która z tych koncepcji dojdzie do skutku, niewiadomo. Tak, jak jest, być nadal nie może.

Jedna rzecz jest pewna. Nie stracili swego autorytetu Jaracz, Bandrowska, Korolewicz-Waydowa. Przeciwnie, wzrósł on jeszcze. Byli i pozostaną wielkimi artystami, mimo wszelkich decyzji organizacji, która, straciwszy podstawy do życia, chce ratować swój zamierający prestige bezsensownemi uchwałami.

J. Sokolicz Wroczyński.

WYSTAWA SZTYCHÓW ANGIELSKICH W „DOMU SZTUKI"



W. Dickinson — „Dziecinne igraszki"
(mezzotinta wedł. obrazu G. Morelanda)



J. Young — Lady Charlotte Greville
(mezzotinta wedł. portretu Hoppnera)

Otwarta w tych dniach w „Domu Sztuki" wystawa angielskich sztychów kolorowych w. XVIII-go stanowi wysoce dodatnią pozycję w działalności kulturalnej tej artystycznej placówki. Zgrupowano starannie sto kilkadziesiąt sztychów, (akwafort, akwatint, mezzotint)— stanowiących w całości bardzo piękną kolekcję dzieł tego najwytworniejszego rodzaju sztuki, który w wieku XVIII w Anglji osiągnął szczyt swej doskonałości. Wystarczy lista nazwisk artystów, reprezentowanych na wystawie, dla zorjentowania się w jej nieprzeciętnej wartości. Apostool, Barnard, Bartolozzi (słynny Włoch, osiadły w Anglji, który osiągnął tam niesłychane powodzenie i uznanie), Bate, Bond, Bourlier, Cardon, Cheeseman, Clint, Dawe, Dickinson, Dumee, Dunkerton, Earlom, Freeman i Stadler, Gauain, Geremia, Gillbank, Grozer, Hamilton, Hogg i Graham, Harraden, Hogg, Jackson, Jones, Jossi, Jukes, Keating, Knight, Lewilly, Lewis, Maile, Mayer, Mead, Meadows, Nicholls, Nutter, Orme, Palser, Pether, Prailing, Prattent, Pym, Reed, Reynolds, Rowlandson, Schiavonetti, Scott, Smith, Shepheard, Thew, Tomkins, Tresca, Turner, Ward, Watson, Whessell, White, Young, i kilku nieznanych.

Wystawa ta, zorganizowana z wielkim nakładem pracy i znawstwa, powinna zainteresować wszystkich miłośników sztuki.

Tania wycieczka do Paryża.

L. O. P. P. i Orbis

organizują tanią wycieczkę do Paryża na Międzynarodową Wielką Wystawę Lotniczą.

Wycieczka wyruszy specjalnym pociągiem z Warszawy (dw. Główny) w środę 28 listopada 1934 r. około godz. 22. Pociąg składać się będzie z wagonów klasy II i III.

Przyjazd do Paryża 3. XI 1934 około godz. 7-ej rano. *W czasie pobytu w Paryżu* mogą uczestnicy wycieczki korzystać z własnych kwater, bądź też z kwater i utrzymania w hotelach przygotowanych przez ORBIS.

Wyjazd powrotny z Paryża czwartek 6.XII.1934.

W drodze powrotnej wycieczka zatrzyma się *na jednodniowy pobyt w Berlinie* w dniu 7.XII 1934.

Uczestnicy wycieczki mogą korzystać za opłatą Zł. 8.50 z całodziennego utrzymania w restauracji pierwszorzędnego hotelu Central, oraz z półdniowego zwiedzania miasta pod fachowem polskiem kierownictwem za dopłatą Zł. 10.

Powrót wycieczki do Warszawy 8.XII około g. 9 rano.

Cena udziału w wycieczce, obejmująca: koszty wpisu na paszport ulgowy wraz z wizami francuską i niemiecką, oraz koszty przejazdu w obie strony, wynosi: *Zł. 315 w klasie III* i *Zł. 393 w klasie II.*

Formalności związane z zapisem na wycieczkę: Zgłosić się w którejkolwiek z placówek Orbisu i przedłożyć: 1) opłaconą na rok 1934 członkowską legitymację L.O.P.P., 2) dowód osobisty z poświadczonem obywatelstwem, 3) zezwolenie właściwego Starostwa na wyjazd zagranicę, 4) poświadczenie zamieszkania, 5) dowód wojskowy (książeczka wojskowa, zezwolenie D. O. K., lub Min. Spr. Wojsk.), 6) 2 fotogr. typu paszportowego.

Zapisy we wszystkich placówkach Orbisu tylko do 21 listopada 1934 r.



Broniszówna, Pancewiczowa, Samborski

ŚWIAT TEATRU

nały akt drugi — scena z życia ludzi normalnych.

Możemy tolerować sztuki zagraniczne nawet banalne i nie nadzwyczajne. Mogą nie być one arcydziełem — ale jeśli sztuka francuska nie ma nawet dobrej technicznej roboty, to już nic nie okupuje jej powierzchownych tez. A w „Ciężkich czasach" mamy tyle zbędnych osób, poprzypinanych niewiadomo poco i szwendających się po scenie jak Marek po piekle...

Maksym, Lulu, Armand — to wszystko postacie nic w sztuce nie znaczące i zbyteczne.

Sztuka więc naogół przedstawia się jako niesmaczna, bezsensowna bzdura, słabo sklecona pod względem roboty teatralnej. Jest jednak świetnie grana przez wszystkich artystów bez wyjątku. Borowski uporał się z całą „imprezą" nader udatnie. Znakomitą parę beztroską, żywą, porywającą naturalnością i wdziękiem stworzyli Smosarska i Ziembiński. Smosarska była rewelacyjna w swej szczerości, bezpośredniości, a chwilami komizmie. Nadzwyczajnie prosto, serdecznie i żywo odegrał Brydziński rolę malarza, ojca rozhukanej pary. Dał sylwetkę skończoną i naturalną. Samborski, jako czarny charakter, panował doskonale nad swą gestykulacją, mimiką i głosem, grając niewdzięczną rolę inteligentnie i z umiarem.

Lekcję cudownej dykcji dała pani Pancewiczowa, która wyglądała i ruszała się dostojnie i pięknie w roli matki potwornego synalka. Wysocka, Broniszówna, Gellówna — naturalne, opanowane, w epizodach dały wzory doskonałej roboty aktorskiej. Brodniewicz, Daczyński, Halska męczyli się, odtwarzając (zresztą bardzo dobrze) to, co autor odrabiać im kazał — słowa współczucia niech im będą słowami uznania.

Przekładem obarczono Jana Lorentowicza — znakomity stylista wywiązał się z tego zadania z wytwornością, która stanowi nieodmiennie zaletę jego świetnego pióra.

Dekoracje nie dostrojone do środowiska francuskiego. Malarz i aktorka — para artystów—zaopatrzeni w dodatku w stałą rentę od akcji przemysłowych — nie mieszkają w Paryżu w nędzarskich meblach, jakiemi nas uraczono w akcie II-gim. A sypialnia młodej multimiljonerki bywa komponowana przez najlepszego artystę - dekoratora, któremu nie przyjdzie do głowy ani falbaniasta toaletka atłasowa, ani horendalne na niej złote frendzle, ani „Louis quinze — szesnasty" berżera i krzesełko w pokoju, który ma być moderne. *L. Ch.*

TEATR POLSKI

„CIĘŻKIE CZASY" E. Bourdet'a. Przekład Jana Lorentowicza. Reżyserja Borowskiego, dekoracje Śliwińskiego.

Odrzućmy odrazu wszelkie psychologiczne zastrzeżenia, jakieby pozornie ta sztuka mogła wywoływać. Zagadnień podobnych w niej niema. Na terenie Paryża — filipika o posłannictwie i roli burżuazji coś znaczyła — u nas była to tyrada w próżnię. Na terenie Paryża — aluzje do chciwości „ljończyków" miały swój posmak złośliwości, którego u nas szersza publiczność nie mogła nawet dostrzec. Na terenie Paryża i na terenie Warszawy błyskawiczne oszołomienie młodej, zdrowej, pięknej, nowoczesnej panny na widok jednego — nawet wielokaratowego — brylantu nie było zagadnieniem psychologicznem, tylko nonsensem scenicznym. Bo nie dano tej młodej dziewczynie zrobić ze siebie nawet „ofiary", ratującej rodzinę z babką na czele. Nie dano jej nawet efektu zwalczenia odrazy do potworka, którego życie miała dzielić, dostarczając mu potrójnej dawki karesów.

Ot, poprostu: zobaczyła na paluszku brylant — i zbzikowała.

Faust z całem pudłem klejnotów miał znacznie więcej kłopotu z Małgorzatą, a przecież Faust jest w każdej operze chłopakiem jak się patrzy! A ta Anna-Marja miała połamańca przewracającego się o kłębek włóczki, drygającego i przydeptującego sobie własne nogi. Takiej bezsensowności nie okupi nawet dosko-



A. Halska i Brodniewicz Fot. Brzozowski



Kuncewiczówna uwodzi Damięckiego...

TEATR NOWY

„Igraszki muzyczne“ Ronalda Mackenzie. Reż. Leon Schiller, dekoracje S. Cegielskiego, przekład Sobieniowskiego.

Szumi wicher, deszcz monotonnie bije o szyby, trzaskają pioruny, histeryczka kocha się w przyrodnim bracie, suchotnik nałogowo gra na fortepianie... Cóż to za epoka? Oczywiście „Młoda Polska“, fin-de siècle, Przybyszewszczyzna, „dekadentyzm“, żywy obraz Balestrierego...

Gdzietam! Okazuje się, że sztuka ta napisana została już po wojnie, i, co najdziwniejsze, przez młodego, dwudziestoparoletniego człowieka. Wprawdzie była to jego pierwsza sztuka — dlatego może ta nieporadność roboty scenicznej, ta „nastrojowość“ dość niewybredna.

Stary angielski przemysłowiec, Schindler, wierci szyb naftowy we wschodniej Małopolsce. Syn jego z pierwszego małżeństwa, młody chłopak, który z wojny wrócił ze starganemi nerwami i chorobą płuc, wałęsa się po domu i daje upust swej neurastenji grą na fortepianie. Nudna kwoka — druga żona Schindlera, żyje kwestjami tak ważnemi, jak pogoda i kłopoty ze służbą. Córka jej, zacięta i nieponętna pannica, narzuca się ze swą miłością muzykalnemu dekadentowi. Brat jej, tępawy ale pracowity młodzian, wierci naftę z takim zapałem, że aż zapomina asystować swej narzeczonej, którą sobie sprowadził z Ameryki. Osamotniona nowoczesna panna spędza wobec tego za wiele czasu z muzykiem — no i kończy się tak, jak było do przewidzenia: zostaje jego kochanką. Za wielkie to powikłanie i zbyt realna rzeczywistość jak na wytrzymałość nerwową dekadenta, więc przy okazji powodzi, pod pretekstem ratowania tonącej przyrodniej siostry, sam topi się we wzburzonej rzece.

Wszystko to jest rozwlekłe, i niestety jeszcze bardziej rozwleczone przez reżysera, który mógł wiele poskreślać dla skondensowania zdarzeń i charakterów. Muzyki jest stanowczo za dużo. Dźwięki Bacha i Beethovena co chwila przerywają djalogi i hamują tempo sztuki.

Aktorzy grali przeważnie dobrze. Stanisławski jako pogodny przemysłowiec angielski, był znakomity, naturalny w każdym ruchu, ciepły, ludzki. Kontrast z nim stanowiła Dulębianka, nieznośnie zmanjerowana na jakiś niemożliwy do słuchania falsecik, którym gra niewiadomo dlaczego wszystkie swe role charakterystyczne, nadając im niepotrzebną monotonję intonacji i sztywną marjonetkowość ruchów. Damięcki jako neurastennik mówił inteligentnie, ale grą twarzy często zbyt przypominał swą rolę ze „Zbrodni i kary“. I zaniedbany strój młodego Schindlera też raczej wskazywał na rosyjskiego ubogiego studenta, niż na kulturalnego anglika. Kuncewiczówna nie posiada w swym rejestrze żadnego z tonów zasadniczych, z których zbudowana jest indywidualność młodej nowoczesnej amerykanki.

Ta wysportowana, żywa, zdrowa egoistka, żyjąca bez przesądów, kierująca się odruchami zmysłów i bezwzględnością — przeistoczyła się w miękkiej interpretacji Kuncewiczówny w istotę pełną niuansów, nieco tajemniczą, demoniczną, „une femme fatale“— czem wcale być nie powinna. Reszta obsady t.j. Grabowska, Pichelski, Balcerkiewiczówna i Fabisiak grali dość jaskrawo, ale wyraziście. *Z. N. Ch.*



...a Balcerkiewiczówna Stanisławskiego Fot. Brzozowski



Lena Żelichowska jest największą atrakcją obecnego programu „Bandy" Fot. Brzozowski

„BANDA" W TEATRZE HOLLYWOOD

„Co w trawie piszczy"

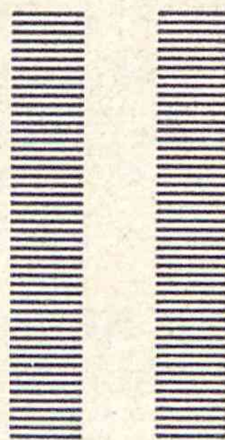
Znaczną część odpowiedzialności w obecnym programie „Bandy" złożono na wątłe barki Leny Żelichowskiej. Jakoś ani teatrowi ani artystce nie wyszło to na złe. Teatr umiejętnie wyzyskał różne odcienie talentu Żelichowskiej, a młoda artystka skorzystała ze sposobności ukazania się w kilku różnych rolach i za każdym razem była inna.

Demoniczna tancerka, błyskająca wśród zwojów czerwonego tiulu wyjątkowo piękną linją ciała — to Żelichowska tańcząca „Bolero" Ravela. Skupiona w swym bólu, opuszczona kobieta — to Żelichowska w „Wielkiem mieście". „Szampańska" kipiąca temperamentem i podbijająca serca mężczyzn elegantka — to Żelichowska w „Paryżance", wreszcie wzruszająca, inteligentna recytatorka świetnego wiersza Tuwima — to Żelichowska, gdy czyta codzienną gazetę, przerzucając się z nastroju w nastrój. Taniec, śpiew, i recytacja — zwłaszcza ta ostatnia — okazały się raz jeszcze domenami jednakowo bliskiemi tej wielostronenj artystce, która ze swobodą przechodzi z teatru do rewji i z rewji do teatru, przy każdem przejściu rozszerzając zakres swych możliwości artystycznych.

Z pozostałych wymienić trzeba doskonałą Stefcię Górską, świetnego Koszutskiego — któż, jak on, zatańczy mazura? — milutką o słowiczym głosie Zosię Terne, oraz pysznego w swej męskiej abnegacji Olszę, który bez wahania, z widocznem upodobaniem przerabia się co wieczór na straszydło, aby w sposób niezrównany „odstawiać" swego solistę z Grajdołka. Piosenka „Ja mam ciocię na Ochocie" jest bardzo zabawna i podana znakomicie. Nareszcie młody aktor rewjowy, który nie marzy o laurach Syma ani o sentymentalnych idjotycznych piosenkach, lecz tworzy własny styl, własny rodzaj humoru, oparty na obserwacji rodzimego, śmiesznego drobnomieszczaństwa. Brawo Olsza!

Jarossy jak zawsze pełen wdzięku, Minowicz, Sielański i Tom za mało tym razem wyzyskani. Młode siły dość jeszcze surowe.

Z. N. Ch.





TEATR WIELKA REWJA

Jeden z efektownych obrazów „Symfonja jesienna". Fot. Brzozowski



Stefcia Górska z temperamentem śpiewa o temperamencie
Fot. Brzozowski



O gospodarcze ożywienie Warszawy

Związek Propagandy Turystycznej m. st. Warszawy, który, jak wiadomo, powstanie swe zawdzięcza trosce o rozwój gospodarczy stolicy — opracowuje obecnie, po częściowem już przygotowaniu stolicy do przyjmowania turystów, plan kampanji, mający na celu ściągnięcie jaknajwięcej turystów do Warszawy, którzyby wnieśli z sobą ruch i ożywienie, tak pożądane w stosunkach handlowych.

Dowodem aktywności Związku w tym kierunku jest niedawno zawarte porozumienie z jednem z najpoważniejszych towarzystw amerykańskich turystycznych. Umowa, którą ze strony Związku Propagandy Turystycznej podpisał jego Vice-Prezes p. Prezydent Józef Ołpiński, ma na celu kierowanie via Warszawa licznych amerykańskich turystów, wracających z wycieczek po Z. S. R. R., którzy dotychczas Polskę, a z nią i Warszawę, przeważnie omijali.

Inicjatywę Związku Propagandy Turystycznej ocenią niewątpliwie wszystkie te czynniki, którym zależy na większych obrotach i zyskach, jakie przynieść im może spotęgowany ruch turystyczny.



Eine Gruppe von Teilnehmern an der 1. Czenstochauer-Gemeinschaftsfahrt der Tageszeitungen „Reichspost" und „Das Kleine Volksblatt"
(Arrangement: Reisebüros „Orbis" und „Austrobus".)

Wer fährt mit nach Czenstochau?

In der Zeit vom 6. bis 11. September 1934 veranstalteten die katholischen Tageszeitungen **„Reichspost"** und **„Das Kleine Volksblatt"** zum ersten Male eine Katholiken-Gemeinschaftsfahrt nach **Czenstochau**, bei der die Teilnehmer u. a. Gelegenheit hatten, den Riesenprozessionen (250.000 Pilger) zur schwarzen Muttergottes sowie den damit verbundenen kirchlichen Feierlichkeiten beizuwohnen. Unvergeßlich und kaum irgendwie mit ähnlichen Erlebnissen vergleichbar waren die Eindrücke, die die Fahrt-Teilnehmer mit nachhause brachten.

Der große Erfolg, den dieser erste Versuch aufzuweisen hatte, veranlaßt die **„Reichspost"** und **„Das Kleine Volksblatt"**, für

Pfingsten 1935 eine große Volks-Wallfahrt nach Czenstochau

(8. bis 10. Juni 1935)

auszuschreiben. Die Fahrt, die mittels Sonderzuges absolviert wird, umfaßt bloß den Zeitraum von 3 Tagen (Pfingst-Samstag, Pfingst-Sonntag, Pfingst-Montag) und kostet unter der Voraussetzung, daß sich mindestens 300 Teilnehmer melden, für jeden Teilnehmer Schilling 70.50. In diesem Betrag ist inbegriffen: Fahrt im Sonderzug, bezw. Sonderwaggon 3. Klasse Wien—Czenstochau—Wien, Nächtigung in Czenstochau (Einzelzimmer unmöglich!), Visagebühren, Führungen, Plakkarte, Abzeichen, Programm.

Zu senden an: Reisebüro „Orbis", Wien, I., Kärntnerstraße 41.

Propaganda wycieczek do Częstochowy w Austrji

Wiedeński oddział Orbisu przeprowadza na terenie Austrji propagandę masowych wycieczek i pielgrzymek do Częstochowy. Propagandę tę prowadzi Orbis w porozumieniu z wpływowemi dziennikami wiedeńskiemi „Reichspost" oraz „Das Kleine Volksblatt". Na zdjęciu podajemy odbitkę jednej z ulotek propagujących Częstochowę, rozpowszechnianych masowo wśród ludności austrjackiej.

(ORBIS).

W. Sieroszewski, prezes Polskiej Akad. Literatury, wśród nauczycieli robót ręcznych

Dnia 10 listopada w gmachu Państwowego Instytutu Robót Ręcznych została zorganizowana wieczornica z okazji święta Niepodległości. Na zebranie to przybył Wacław Sieroszewski, Prezes Polskiej Akademji Literatury, który w pięknem i głębokiem przemówieniu wyłożył dokładnie swój pogląd na znaczenie pracy fizycznej w wychowaniu nowego polskiego pokolenia. Zdaniem mówcy, każdy powinien przejść przez pracę warsztatową, gdyż praca taka nietylko zmieni fałszywe ustosunkowanie się naszego społeczeństwa do pracy fizycznej i zbliży do siebie pracowników fizycznych i umysłowych, ale wyrobi w młodzieży sumienność, dokładność i ścisłość. Opowiedział również Wacław Sieroszewski, jak znajomość rzemiosła odegrała wielką rolę w jego życiu osobistem, ułatwiając zbliżenie się do sfer robotniczych w okresie niewoli, a w pracach naukowych o Jakutach ułatwiła mu zgłębienie i zbliżenie się do duszy tego ludu.

Motywując potrzebę poważnego traktowania robót ręcznych w naszem szkolnictwie — Wacław Sieroszewski wysunął tak głębokie i silne argumenty, tak przemawiające do mózgów i serc, że najwięksi przeciwnicy wprowadzenia pracy warsztatowej do szkoły ogólnokształcącej, wysłuchawszy ich, musieliby się stać najgorętszymi zwolennikami tego działu pracy szkolnej..



Na wielki bal maquillage robi się do pasa, jak widać na ilustracji obok



KOSMETYKA PANI ZOJI

MAŁY „MAQUILLAGE"

„Maquillage", czyli barwne upiększenie twarzy, jest obecnie niezbędną częścią toalety.

Pani wychodząc na ulicę bez maquillage'u czuje się nieubraną, a nieumalowana kobieta na balu wygląda, jak straszydło.

Lecz tak samo, jak na różne okazje wkładamy odpowiedni strój — „maquillage" nie zawsze może być jednakowy.

Na wielki bal „maquillage" może być bardziej jaskrawy i stosuje się aż do pasa (nic dziwnego, skoro takie są modne dekolty).

Popołudniowy maquillage jest o wiele skromniejszy w zakresie — no i w barwach.

Ale najważniejszy jest ten codzienny mały maquillage, który robimy w pośpiechu — albo raniutko idąc do biura, albo w momencie, kiedy dzwoni dzwonek w przedpokoju i prędko trzeba być ładną, albo kiedy spieszymy za interesami na miasto.

Ten codzienny mały „maquillage" jest naszem prawdziwem obliczem, a *sekret*, aby był naprawdę udany, polega na tem, żeby używać bardzo delikatnych szminek w najlepszym gatunku i doskonale dobranych do naszej skóry.

Wtedy nawet możemy „popackać" byle jak, a zawsze będziemy świeżo i dobrze wyglądać.

SALON ZOJA

Warszawa *Służewska 4.*



PORADY KOSMETYCZNE

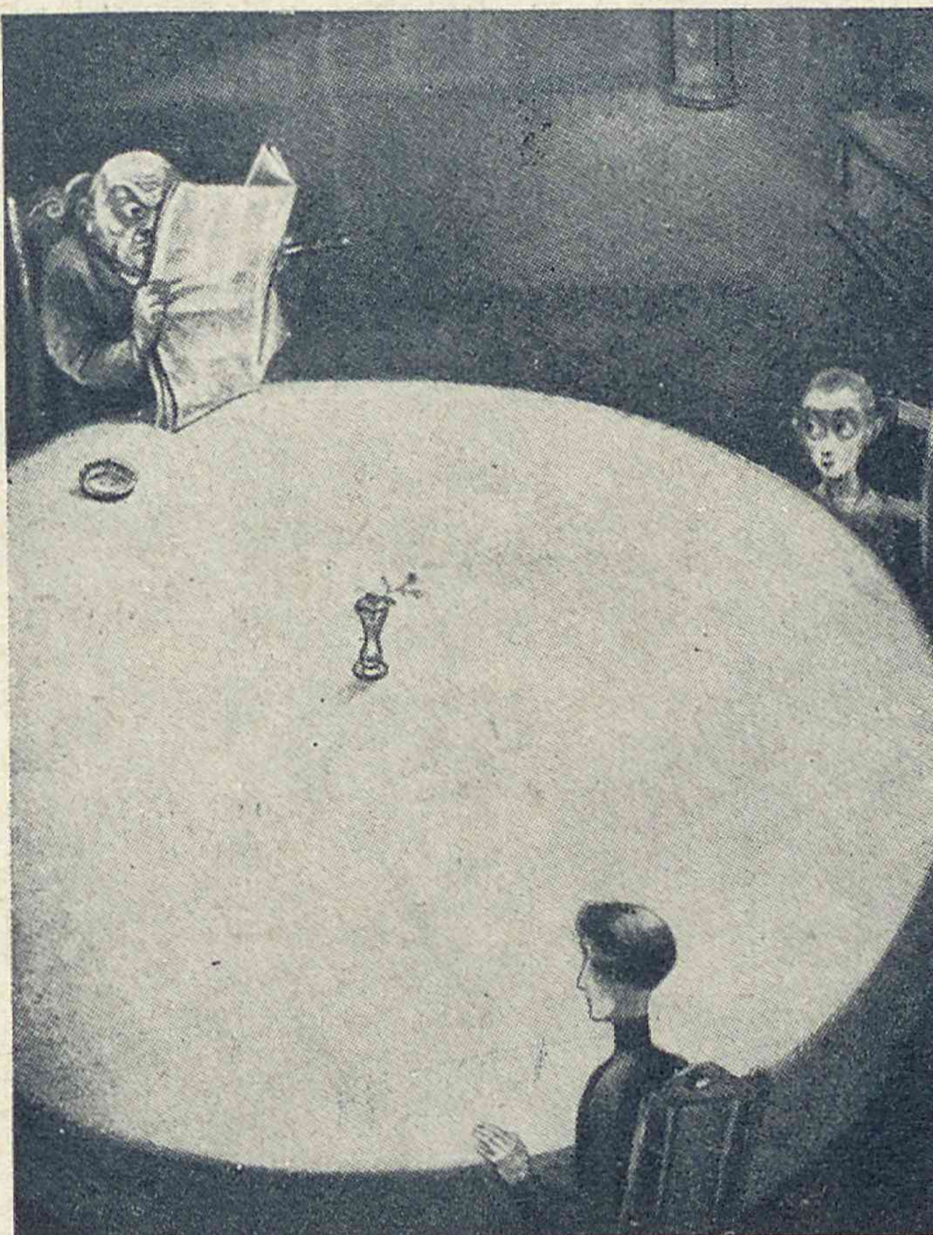
Odpowiedzi od Redakcji:

P. Kamili K-skiej, Żnin. Niedostateczne wydzielanie tłuszczu własnego przez komórki skórne powoduje wysychanie skóry i łuszczenie się. Radzimy wcierać wciągu dnia Krem Ziołowy „Antiba", zawierający naturalne składniki ziół aromatycznych, który odżywia suchą cerę, wygładza i wydelikatnia. Do mycia twarzy dobry jest Lotion tonique „Antiba".

P. Zofji Pu-ckiej z Prużan. Nie radzimy rezygnować z leczenia łojotoku, który jest najczęściej spotykanym defektem skóry, polegającym na zaburzeniach w czynnościach gruczołów łojowych skóry. Znakomicie oczyszcza skórę i zwęża pory Tonic Astrigent — Antiba, zaś toaletowy płyn aromatyczny Ocetoal-Antiba, nadaje się specjalnie do stałego pielęgnowania tłustej cery.

Pani Marji J. z Warszawy. Wzamian mydła dla osób o cerze tak wrażliwej, jak Pani, najbardziej wskazane są do mycia kosmetyczne Otrąbki migdałowe marki Antiba.

NASTROJE RODZINNE



Kiedy mąż i żona nudzą się przy stole...

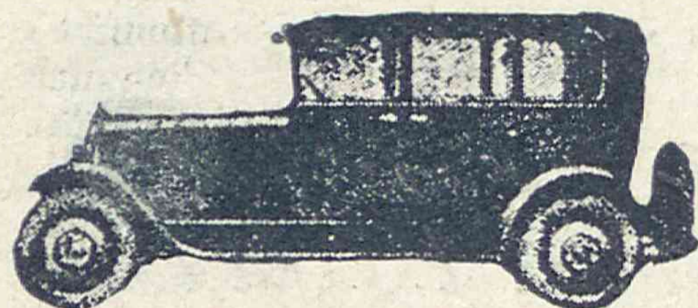
HYGJENA DZIECKA

Harmonijnem uzupełnieniem powszechnie używanego *„Pudru Bebe Szofmana"* jest nie mniej doskonałe *„Mydło Bebe Szofmana"* mydło przetłuszczone dla dzieci i dorosłych o wrażliwej cerze. Dzięki *„Mydłu Bebe Szofmana"* skóra dziecka, a także i osoby dorosłej nabiera świeżości, elastyczności, odporności na wszelkie dolegliwości skórne słowem nabiera tego, co się zowie wyglądem kwitnącym. *„Mydło Bebe Szofmana"*, jest hygienicznem mydłem, wyprodukowanem ze specjalnie dobranych tłuszczów. Każdy war mydła tego jest badany przez pracownie analityczną firmy „WU-EL-KA" przyczem szczególną wagę przywiązuje się do przetłuszczenia *„Mydła Bebe Szofmana"* stosownie do delikatności naskórka dziecięcego i wszelkiej innej wrażliwej cery, oraz do związania wolnych alkalji, które w zwykłym mydle nieszkodliwe, mogą się stać przyczyną ciężkich schorzeń skórnych przy delikatnym naskórku dziecięcym i wrażliwej cerze u dorosłych. *„Mydło Bebe Szofmana"* jest perfumowane kompozycją oryginalną i subtelną, a zawierającą jedynie najszlachetniejsze naturalne olejki pachnące, z zupełnem pominięciem olejków sztucznych, które zawierając niekiedy resztki chloru i węglowodanów destrukcyjnie działają na skórę.

Dr. S. A.



Henryk Ładosz, „Radjowy Wujaszek", recytator, conferencier i świetny wykonawca piosenek ludowych, wystąpi przed mikrofonem w dn. 29 b. m. o godz. 20.00.





CO NIOSĄ FALE RADJOWE?

HENRYK ŁADOSZ ŚPIEWA PIOSENKI LUDOWE
czwartek — 20.00.

Imre Ungar
piątek — 20.15.
Reportaż z Dawidgródka
sobota — 19.20.
Aniela Szlemińska
sobota — 17.00.
„Pochwała mężczyzny współczesnego"
sobota — 17.50.
Wiktor Łabuński —19.00.
Władysław Ladis — 20.00.
niedziela.
„Trójkątny kapelusz" de Falka
niedziela — 22.30.

Obłęd pośpiechu"
poniedziałek — 19.30.
„Józef Piłsudski w pracy konspiracyjnej"
poniedziałek — 21.45.
„Wiedeńskie potpourri'
wtorek — 20.00.
Henryk Sztompka gra Chopina
środa — 21.00.
Chór Dana
środa — 21.40.
Profesor Tadeusz Kotarbiński o poznaniu samego siebie
czwartek — 21.45.

Międzynarodowe przygotowania do audycji wigilijnej

Jak radjo przygotowuje ściśle i precyzyjnie niektóre większe swoje audycje, świadczy fakt, że już w październiku na Zjeździe Unji Międzynarodowej Radjofonicznej w Pradze Czeskiej ustalono zasady zbiorowej audycji wigilijnej, w której wezmą udział wszystkie narody europejskie. Audycja ta — zapoczątkowana przez radjofonje różnych krajów w ubiegłym roku — obecnie będzie miała nieco zmieniony charakter, co wypływa z doświadczeń zeszłorocznych.

W wigilję Bożego Narodzenia usłyszą radjosłuchacze płyty gramofonowe z nagranemi kolendami wszystkich narodów europejskich. Każda płyta poprzedzona będzie wstępem, zawierającym nie więcej jak 500 słów i objaśniającym charakter obrzędów związanych ze świętem Bożego Narodzenia w danym kraju. Wstępy będą zredagowane w dwu językach: krajowym i francuskim.

Przez jeziora i rzeki Brasławszczyzny

Brasławszczyzna to uroczy, o dzikiej jeszcze przyrodzie, zakątek naszego kraju. Liczne tamtejsze jeziora, o imponującej wprost powierzchni, jak np. Snudy i Strusto, Dryświaty, Drywiaty i Dzisna, bogato rozwinięta sieć rzeczna, duże lasy oraz piękne krajobrazy sprawiają, że Brasławszczyzna jest wspaniałym terenem turystycznym, zwłaszcza dla turystyki wodnej. Niestety ta połać naszego kraju nie jest jeszcze należycie znana i doceniana pod tym względem zarówno przez szeroki ogół, jak i przez naszych „wodniaków". Do należytego uświadomienia sobie przez społeczeństwo piękna i walorów turystycznych Brasławszczyzny walnie przyczynić się może ukazująca się obecnie w nakładzie Głównej Księgarni Wojskowej praca Adama Wisłockiego p. t. PRZEZ JEZIORA I RZEKI BRASŁAWSZCZYZNY. Warszawa 1834. Cena 5.— zł.

ŚLUB KSIĘŻNICZKI MARYNY



Wielkie firmy paryskie pracują gorączkowo nad wyprawą dla księżniczki Maryny Greckiej, która, jak wiadomo, zaślubi w dniach najbliższych syna króla angielskiego.

WENECJA ZALANA



Po Placu Ś-go Marka, wskutek wielkiego przypływu morza, pływano w tych dniach łódkami

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 103 (393)
Krzyżówka magiczna

(Za rozwiązanie 3 punkty)

	1	2	3	4	5
1					
2					
3					
4					
5					

W daną figurę należy wpisać 5 dziewięcioliterowych wyrazów o podanem znaczeniu, czytanych tak pionowo, jak i poziomo.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1) Znak bibljoteczny, z nazwiskiem posiadacza bibljoteki, 2) Spadek, 3) Utajenie osobowości, 4) Rozpustny, 5) Łakocie.

Rozwiązanie zadań

Nr. 84 (374) REBUS

„GŁUPSTWO JEST WIECZNE: GŁUPSTWO NIE MOŻE UMIERAĆ".

Nr. 85 (375) ELIMINATKA

1) Cały, 2) Świat, 3) Lej (wspak), 4) Sód, 5) Lot (wspak), 6) Ból, 7) Cel (wspak), 8) Nie, 9) Bank, 10) Rut, 11) Elm. — *„CAŁY ŚWIAT JEST OBECNIE BANKRUTEM"* (Klucz: LÓD).

Nr. 86 (376) ZADANIE LITERACKIE

1) Słowik, Cień, 2) Kaszgarja, 3) Unja, 4) Mgła, 5) Matka i syn, 6) Eunuch, Róża, 7) Szary wilk, 8) Wiry, 9) Hetmani, 10) Alma, 11) Hańba dusz, 12) Władca dusz, 13) Róża i Nina, 14) Oman, 15) Pan Benet, 17a) Siła, 17b) Jane, 18) Półromans, 19a) Etap, 19b) Wianek, 20) Padyszach, 21) Głód, 22) Planety, 23) Bobo, 24) Glinkowie, 25) Różnie bywa — *„Ignacy Maciejowski — Sewer — Dola"*.

Nr. 87 (377) ŁAMIGŁÓWKA.

1) Pszeć, 2) Litwa, 3) Błona, 4) Pałąk, 5) Cnota, 6) Tatry, 7) Asyzy, 8) Szyna, 9) Gagał, 10) Kwas. — *„Siła nasza wewnątrz nas".*

Trafne rozwiązanie zadań Nr. 84 — 87 (łączna ilość 33 punkty) nadesłali:

Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin), N. K. Kozłowski, Henryk Silczyński, Romuald Żak, Kazimierz Lilpop, Marja Strubel, Walenty Olszewski (Osięciny), Dorota Herbstmanówna, Feliks Kowalski, Zygmunt Walewski, Władysław Janowski, Karol Waldenberg (Łódź), Stanisław Tański, Cecylja Lewandowska, Tadeusz Noskowski, Wiktor Sawicki, Jerzy Halski, Bolesław Nowak, Zofja Górska, Tadeusz Ritter, Henryk Ostrowski, Jan Kowalski, Gertruda Wolska, Feliks Siedlecki (Poznań), Tadeusz Pomianowski, Wiktor Rawicz, Antonina Solecka, Ksawery Faliński, Helena Millerowa (Kraków), Jan Rudziński (Kalisz), Baśka Żulińska (Częstochowa), Władysław Stock (Pińsk).

ROZWIAZANIE POSZCZEGÓLNYCH ZADAŃ:

Rudolf Tyblewski, Poznań (84.85.87), Czesław Kozłowski (84.85.87), Marjan Wolf (84.85.87), Zofja Suchecka, Radom (84.85.87).

NAGRODY OTRZYMALI.

Zygmunt Walewski (Warszawa) — książkę.
Helena Millerowa (Kraków) —książkę.

ODPOWIEDZI KIEROWNIKA DZIAŁU.

WP. Kazimierz Lilpop. Dodatkowe rozwiązanie zadania Nr. 90 uwzględniamy.

WP. Jadw. Kwiekowa w Dobrzelinie. Za spóźnione, lecz trafne rozwiązania zadań 81—83 należną ilość punktów zaliczamy.

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.

K O N T O P. K. O. 3.755

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa